



# PRZEbieg

## Polka walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 11 (50)

NIEDZIELA 21 MARCA 1943 R.

CENA 20 FLS

### D W I E D A T Y

W chwili, gdy sprawa naszych granic wschodnich znów staje się ośrodkiem zainteresowań wszystkich Polaków, nie od rzeczy będzie przez chwilę kilka skupić myśli dla przypomnienia wydarzeń, których rocznice 22. względnie 20. przypadły na ubiegły tydzień.

Są nimi: traktat pokojowy zawarty w Rydze dnia 18 marca 1921 r. między Rzeczpospolitą Polską a Rosją i Ukrainą oraz uchwała Rady Ambasadorów z 15 marca 1923 r. zatwierdzająca granice Polski wytyczone w tym traktacie.

Traktat ryski kończył formalnie wojnę polsko-rosyjską, która wybuchła z początkiem 1919 roku sama przez się z chwilą, gdy odradzające się państwo polskie musiało bronić się przed zabobrością rosyjskiego imperializmu. Traktat ten był jednak faktycznie czymś więcej. Był zakończeniem stoipięćdziesięcioletnich walk, które naród polski prowadził w celu odzyskania niepodległości i powinien być hyé finałem wicłooaktowego dramatu rywalizacji polsko-rosyjskiej na przestrzeni czterech wieków dzielących Aleksandra Jagiellończyka od Józefa Piłsudskiego.

Wojna polsko-rosyjska skończyła się w 1920 roku zwycięstwem Polski. A jednak traktat, który zawarto w Rydze, w niczym nie przypominał pokoju, jaki zwycięzca narzuca zwyciężonemu. Nie było w nim postanowienia, które Rosja musiałaby bezwarunkowo

przyjąć. Każda kwestia sporna była w czasie rokowań przedmiotem dyskusji, która trwała tak długo, aż osiągnięto obustronne porozumienie. Nie przysus czy terror były czynnikami pertraktacji, a rzeczowa argumentacja i chęć znalezienia rozwiązań możliwych do przyjęcia dla obu stron. Stwierdził to wyraźnie przewodniczący delegacji sowieckiej Joffe oświadczając w przemówieniu zamykającym konferencję, że rokowania w Rydze odbywały się w atmosferze, która umożliwiła uzgodnienie obu stanowisk.

Do stołu obrad w „domu czarnogłowych” w Rydze zasiadli partnerzy dwóch równorzędnych, młodych ustrojów państwowych, które choć różne ideologicznie, tym sobie były bliskie, że każdy z nich miał odwagę, aby dla położenia fundamentów pod budowę trwałego porozumienia wyrzec się części dziedzictwa przeszłości. Ofiary te były jednak niewspółmierne. Polska nie tylko rezygnowała z kontynuowania posiadłości Jagiellonów, nie tylko wyrzekała się zdobyczy Batorego, nie tylko odrzekała się raz na zawsze od zamiaru powtarzania wypraw Zółkiewskiego i Władysława Wazy, ale oddawała niemal połowę terenów, które należały jeszcze do ostatniego z jej królów. Rosja — uznawała niepodległość Polski i rezygnowała tylko z części zaborów Katarzyny.

W Rydze pobite Sowiety były stroną biorącą, zwycięska Polska stroną oddającą terytoria, o które toczył się bój.

Traktat ryski był pierwszym aktem prawnym z naszej strony, którym wyrzekaliśmy się i rzekli w sposób legalny praw do olbrzymiej połaci polskich ziem wschodnich. Był to akt, którym legalizowaliśmy Rosji jej nabytki z pierwszego i drugiego rozbioru Polski. Była to rezygnacja, która na chwilę nie przyszła na myśl nikomu w ciągu walk niepodległościowych XIX wieku. Ale było też to nasze ostatnie, najdalej posunięte ustępstwo, łączące się oczywiście integralnie z dotrzymaniem zobowiązania przez stronę przeciwną.

Traktat ryski nie był natomiast pierwszym aktem, którym Rosja bolszewicka uznawała niepodległość Polski. Jeszcze w czasie pełnej wojny, dnia 28 stycznia 1920 roku Rada Komisarzy Ludowych Rosyjskiej Republiki Sowieckiej w deklaracji „do rządu polskiego i ludu polskiego” ogłosiła uznanie „bezwarunkowe i bez żadnych zastrzeżeń niepodległości i suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej”. W tym samym czasie rząd sowiecki proponował Polsce linię rozejmową idącą o wiele dalej na wschód niż granica ustalona później traktatem ryskim.

Art. 87 traktatu wersalskiego przekazał głównym mocarstwom sprzymierzonym i stowarzyszonym sprawę

ustalenia tych granic Polski, które w Wersalu nie zostały określone tj. jej granic wschodnich. Na tej podstawie reprezentująca te mocarstwa Konferencja Ambasadorów, w skład której wchodziłi przedstawiciele Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Japonii, decyzją z dnia 15 marca 1923 r. uznała granice polsko-rosyjskie ustalone przez traktat ryski, jako „wyznaczone za zgodą i na odpowiedzialność obu zainteresowanych państw”.

Nazajutrz tj. 16 marca ówczesny premier, gen. Władysław Sikorski powiadomił o tym fakcie przedstawicielstwo narodu — Sejm Rzeczypospolitej. Mówił wówczas: „...Mocarstwa sprzymierzone uznały całkowicie wszystkie wschodnie granice Rzeczypospolitej Polskiej, uznając zarazem zupełną suwerenność Rzeczypospolitej względem wszelkich objętych tymi granicami obszarów, bez jakichkolwiek zastrzeżeń, bez jakichkolwiek ograniczeń. Ostatnia decyzja Konferencji Ambasadorów stwierdza fakty dobrze Polakom znane i sercu polskiemu bliskie, bo polską krwią okupione. Stwierdza ona, że polskie Wilno, dwukrotnie wysiłkiem naszego żołnierza wyrwane barbarzyństwu, także i ze stanowiska międzynarodowego przynależę oddać na zawsze do macierzy. Stwierdza ona, że obrońcy pierściami własnych synów prastary polski Lwów wraz z Małopolską Wschodnią dzielić będą państwa polskiego po wiek wieków nie-dolę i rozkwit...”

„Jak granice zachodnie uzyskaliśmy przede wszystkim dzięki zwycięstwu wielkich mocarstw, tak nasze granice wschodnie stanowią wynik dwóch czynników, a mianowicie polskiego bohaterstwa, wysiłku zbrojnego i do ostateczności posuniętego umiarkowania.”

I na zakończenie: „...krew polska, którą przesiąkła ziemia nasza, nie pójdzie na marne, a te kopce i miedze graniczne, które ona zaznaczyła, zapadną głęboko w serce każdego Polaka i zostaną ustalone polskim czynem na zawsze!”

Minęło 20 lat, a jednak żadna z tych prawd nie straciła ani odrobiny na wartości. I jeżeli dziś znów ten sam premier, a zarazem Wódz Naczelny, generał Sikorski zabiera głos w obronie tych samych granic, to wbrew twierdzeniu sowieckiemu, całkowicie w tej sprawie odzwierciedla rzeczywistą opinię narodu polskiego.

I żaden rząd polski innego stanowiska zająć by nie mógł. Bo tak jak przed 20 laty, stoimy niezłomie na stanowisku, że granica ryska określiła minimum naszego bytu i maksimum naszych ustępstw.



*N dnia wydania 50-go numeru „Orla Białego” składam pracownikom Redakcji i Drukarni Polowej pismo, które wydawali w tak ciężkich warunkach w Buzułuku, Jangi-Jul, Teheranie i tu w Iraku było nadal wiernym towarzyszem żołnierza w jego marszu do Polski.*

*Władysław Anders*

Założyciel „Orla Białego” Dowódca Armii Polskiej na Wschodzie gen. Anders nadesłał nam następujące życzenia:

W dniu wydania 50-go numeru „Orla Białego” składam pracownikom Redakcji i Drukarni Polowej życzenia, aby pismo, które wydawali w tak ciężkich nieraz warunkach w Buzułuku, Jangi-Jul, Teheranie i tu w Iraku było nadal wiernym towarzyszem żołnierza w jego marszu do Polski.

WŁADYSŁAW ANDERS

Zb. R-ski

# PRAWDA ZAGROŻONA

W chwili obecnej winniśmy przypominać nie tylko swoim wrogom, ale i przyjaciółom fakt, który mógłby pójść w zapomnienie: że z poród wszystkich społeczeństw europejskich jesteśmy społeczeństwem o najsilniejszym poczuciu narodowym. To poczucie narodowe stanowiło — być może — źródło licznych naszych słabości, osłabiało nas ono zwłaszcza wszędzie tam, gdzie panowały snobizm lub oburzony idealizm internacjonalizmu, ale równocześnie z niego, a nie z czego innego czerpiemy te siły, które pozwoliły nam ostać się w tyłu burzach dziejowych.

Nie wątpimy, że przetrwanie obecnej burzy dziejowej znowu będzie my zawdzięczali temu poczuciu narodowemu, a nie czemu innemu. Są bowiem ludzie, którzy chcieliby, żebyśmy swoje poczucie narodowe zaczęli odczuwać jako winę — żebyśmy na punkcie tego poczucia mieli wyrzuty sumienia, słowem: żebyśmy naród odczuli jako uraż. Cel tej dziwnej roboty jest dosyć przejrzysty: chodzi o to, żebyśmy się poczuli „synami marnotrawnymi”, gdy nam nasze poczucie narodowe będą wybierać i gdy zamiast zdrowej strawy zaczną mu rzucać nędzne ochłapy.

Dla tego musimy donośnie zastukać w stół i powiedzieć głośno, że nie było jeszcze i nigdy nie będzie takiej siły, która mogłaby nas zmusić do tej najhaniebniejszej rezygnacji: do rezygnacji z polskości. Co więcej — z wysokości swoich doświadczeń wołamy, że pokój, jaki sobie świat w tej wojnie wywalczy, będzie pokojem przegranym — jeżeli politycy i mężowie stanu nie dokopią się tej prawdy, iż tylko na prawach narodu można budować porządek międzynarodowy, a nie na prawach anonimowego upiora, zwanego „szarym człowiekiem”. Tego upiora stworzono tylko po to, by zamaskować nim jedyną żywą, ale wrogą wszelkim totalizmom i międzynarodówkom prawdę o narodzie. Nie jesteśmy „szarymi ludźmi”, tzn. nie jesteśmy adresatami waszych światoburczych apelów — jesteśmy Polakami i jako tacy dopiero jesteśmy obywatelami świata.

Gwałt totalistyczny dokonany na narodach nie daje żadnych praw. Z tej na pozór banalnej prawdy nie wynika jednak bynajmniej banalna konsekwencja, że „winowajców należy ukarać”. To jest tylko parawan, za którym ukrywa się prawdę o wiele, mniej banalną i dla tego mniej wygodną: że trzeba tępić wszelki totalizm. Nasze tylekroć doświadczone, w cierpieniu, łzach i krwi zahartowane poczucie narodowe każe nam rozumieć wolność inaczej, niż ją rozumie demagogia wszystkich totalizmów świata: wolność w naszym rozumieniu nie jest rezygnacją z polityki. Wolność, to nie jest uwolnienie od odpowiedzialności, to nie jest wyzwolenie od walki, to nie jest ubezwłasnowolnienie — przeciwnie: wolność, to jest wola, to jest walka, to jest odpowiedzialność. W tym sensie wolność nie jest idealnym celem, do którego się dąży (i który obiecany jest po którejś tam pięciolatec), ale konkretną podstawą życia politycznego, jego bezwzględny warunek. W imię tak pojętej wolności podjęliśmy pierwszy wśród przerażonych narodów Europy rekwizycję Hitlera. Zasługa nasza wobec historii polega na tym, że nie

rezygnowaliśmy, uważamy więc sobie za obowiązek nie pomniejszać jej przez to, że gotowibyśmy byli obecnie rezygnować.

Totalizm jest metodą panowania nad światem. Dziś toczy się między totalizmami walka na śmierć i życie. Dopóki nie znikną wszystkie — wolność narodów i jednostek będzie tylko hasłem demagogicznym, przy pomocy którego jeden totalizm mobilizuje siły przeciwko innym. Nasze hasło bojowe brzmi: „Za wolność naszą i waszą” — walczymy o wolność jako żywi, który umożliwia życie wolnym, a nie jako ład lub

beład wewnętrzny, który umożliwia totalizmom najłatwiejszą interwencję. Mówimy wyraźnie: nie chcemy służyć cudzym interesom, choćby się przystajęły w piórka najszczytniejszych ideałów. „Za wolność naszą i waszą” — za wolność jako powierze do oddychania, a nie jako jarzmo w służbie tej czy innej międzynarodówki.

Takie jest nasze najgłębsze poczucie. Nie dajmy go sobie wydrzeć. Bo przyjdą tacy, którzy nam zaczną tłumaczyć, że to jest „niewspółczesne”, albo nawet „niepraktyczne”, albo wręcz „bezsensowne”, lub na-

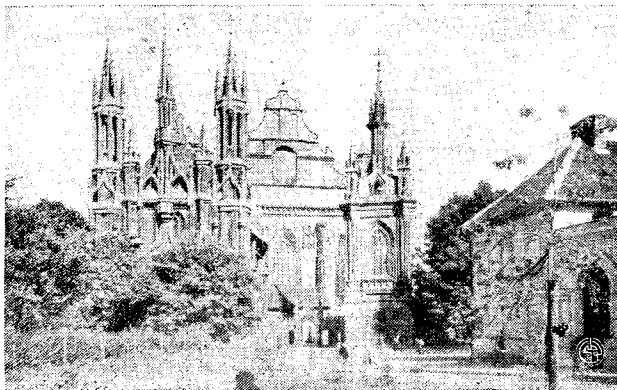
wet „zbrodnicze”. Tym odpowiadamy spokojnie, że to właśnie jest 1) wieczne, 2) naturalne i 3) nadające życiu sens. Dlatego wszyscy politycy — jeżeli nie zechcą demaskować się jako pacholkiwie takiej czy innej totalistycznej międzynarodówki — muszą się z tym liczyć. Bo to jest o wiele bardziej podstawowe i o wiele ważniejsze niż wszystkie kalkulacje ekonomiczne, niż „rentowność”, niż „wielkie obszary gospodarcze”, a nawet niż „standart życiowy”. Niewolnik o najwyższym standardzie życiowym nie przestaje być niewolnikiem. My Polacy walczymy o wolność, tzn. o samostanowienie narodu polskiego, a nie o taki lub inny standart życiowy i nie o rentowność tego czy innego przemysłu i nie o czyjkolwiek „wielki obszar”.

Wzmacnia nas w tym poczuciu świadomość, że nie jesteśmy w nim osamotnieni. Poza narodami, które wolały w haniebnych okolicznościach zachować (na krótko) swój wysoki standart życiowy, niż wzgardziwszy nim, dać światu hasło do walki o wolność — są długie szeregi narodów, które odczuwają tak, jak my. Ale nawet gdyby takich narodów nie było — nie powinniśmy wypierać się tego, co odczuwamy wszyscy jako żywe źródło naszej siły: naszego głębokiego poczucia narodowego. Wierzymy, że przykład nasz porwie wszystkich, którzy pod obuchem rękoma nowych prawd zachwiali się. Nie ma nowych prawd. Totalizmy, które pragną uchościć za nowe prawdy, lubią jednak wkładać maski starych, uświęconych prawd. Nauczmy się zdzierać z nich maski. Nie ma nowych prawd i totalizm was oszukuje, gdy przedstawia się wam jako „nowoczesna forma” starych, uświęconych prawd. Totalizm jest kłamstwem i oszustwem, maskaradą i szarlatanstwem — totalizm jest starą jak świat prawdą o tyranii i niewolnictwie.

Żaden totalizm nie „prowadzi” do wolności. Totalizm robiony jest przez tych, którym się wydaje, że nadeszła już chwila, gdy ludzkość ostatecznie dojrzała do doskonałego niewolnictwa, a zaspokaja potrzeby tych, którzy na prawdę zmęczeni są wolnością, lub którzy — zatruci jadłem kłamstwa o wolności jako swawoli i rozprężeniu — syci są swej pustki wewnętrznej i swej beznadźności. W kim czynne są siły twórcze, kto chce świat kształtować — jednego tylko pragnie: wolności, która obarczy go zadaniami na miarę jego pragnień, swobody, która da mu do rąk two rzywo, a nie „wolności” i „swobód”, które podobne są do kłatek i do regulaminu więziennego. Kto jest silny, — szuka oporów i ograniczeń, które narzuca mu tworzywo lub jeśli kto woli natura rzeczy, albo wola Boska, a nie ograniczeń, które narzuci mu chce cudza wola. Kto jest wolny — szuka ryzyka, a nie zabezpieczeń kosztem swego istotnego powołania, kosztem swojej woli.

Wszystkie żywe prawdy poczęte są z ducha wolności, a ponad nimi wszystkimi stoi jedna wieczna i niezniszczalna: naród, który jest jedyną rzeczywistością, żywiołem, w którym żyjemy wszyscy i z którego nie ma ucieczki. Dopóki nie stracimy z oczu tej gwiazdy, nie zabłądzi okręt nasz i w najstraszliwej burzy. A burze idą...

## NASZE MIASTA



Wilno: Kościoły św. Anny i Bernardynów



Co można o Tobie powiedzieć — tośmy już powiedzieli. Aż imię Twoje wyblakło, jakby je czas spopielił... Słowo nawet tak święte, żadnych dziś strun nie zatarga. Coraz boleśniej je słyszę, jak prośbę, jak wyrzut, jak skargę. A pocóż mi Cię wzywać co dnia i co godzinę, Gdy żyjesz we mnie od dawna, żyłami krwią mi płyniesz? Sprętona w sile mięśni, zaczarowana w myślach Idziesz ku mnie bez przerwy z nad Bugu i z nad Wisły. W każdym krzyku, co budzi ulic warszawskich ciszę Sygnałem stacji nadawczej, z piwnic dalekich Cię słyszę... W każdym świcie granatu, co gdzieś wśród wroga pęka Zza murów Oświęcimia, jakimś niehumanym jękiem. Płyniesz ku mnie z oddali, jesteś i trwasz bez przerwy. Pocóż mi budzić Cię w duszy, jakimś żalobnym werblem? Innej dla Ciebie pamięci i innej chwały pragnę! Niech imię Twoje najświętsze mój własny poświeci bagnet. Chcę je wypisać gruzami nieprzyjacielskich fabryk, Biłą zgłiszcz, krwi czerwień Twoją obwieścić barwy. Twardym, żołnierskim krokiem po całej ziemi Cię roznieść, Salwą armatnią hramy rozwalić Ci na roście! I zanieść Cię do Warszawy w dłoniach żołnierskich pragnę! Gdy Cię obudzi mój granat, gdy Cię zdobędzie mój bagnet!

I. Czechowiczówna

Mieczysław Jastrzębiec

# JESTEŚMY SKAZANI NA WIELKOŚĆ

Ostatnie przemówienie Goebbelsa miało na celu przekonanie świata o słuszności trzech tez, będących w chwili obecnej sloganami propagandy niemieckiej; tezy te brzmią następująco:

a) Europie i kulturze Zachodu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony bolszewizmu,

b) Niemcy i ich sprzymierzeńcy prowadzą walkę w celu odwrócenia od świata tej groźby i stanowią obecnie jedyną łamę, która może wstrzymać fale czerwonego potopu,

c) Jeżeli Niemcy w tej walce upadną, cały świat cywilizowany stanie przed obliczem nieuchronnej zagłady. Nie potrzeba zbyt wielkiej przenikliwości, aby odgadnąć wniosek, jaki Reichspropagandaminister każe wyciągnąć z tego nie pozbawionego chytrłości rozumowania. Z niebawym tupetem choć nie bez naiwności stawia Goebbels demokrację Zachodu przed alternatywą: „albo nie dacie nam zginąć, albo i was pochłonę zwyciężki bolszewizm. A więc wybieracie mniejsze zło i róbcie z nami odrębny pokój”.

Nie czujemy się kompetentni ani uprawnieni, by brać na siebie obronę intencji i zamiarów Związku Sowieckiego. Przypuszczalnie nasz wschodni sąsiad posiada dość argumentów dla wykazania, że rozumowanie Goebbelsa i jego alarmy są pozbawione uzasadnienia i mają na celu tylko jedno: zasiać nieufność między sprzymierzonymi i doprowadzić do rozbitcia jednolitego frontu antyniemieckiego. Taktyka Goebbelsa jest ta sama, którą już raz zastosował z powodzeniem jeden z poprzedników Hitlera, Fryderyk Wielki, ojciec nowoczesnego imperializmu niemieckiego. Królówi temu udało się namówić w swoim czasie Rosję do wystąpienia z koalicji antypruskiej, co w konsekwencji zamieniło nieuchronnie zagrażającą Fryderykowi klęskę w pruskie zwycięstwo.

Bardziej natomiast wymagające reakcji jest przyswajanie sobie przez Niemców miana obrońców Europy i kultury chrześcijańskiej, do czego w danym wypadku mają mniej niż kiedykolwiek uprawnień i kwalifikacji.

Przypomnijmy sobie najprzód, że to przecież Niemcy sami, bo im to wówczas było wygodne, dopomogli w 1917 roku partii bolszewików do objęcia władzy w Rosji. Ze nie kto inny, jak niemieckie naczelne dowództwo przewiozło Lenina i Trockiego w zaplombowanym wagonie ze Szwajcarii do Rosji, gdzie obaj natychmiast stanęli na czele rządu zwalczającego ówczesny tzw. demokratyczny rząd rosyjski.

W chwili, gdy bolszewizm najsilniej ujawniał dążenia do ekspansji tj. w roku 1920, a Polska sama jedyna w Europie mu się przeciwstawiła, Niemcy sprzyjali Rosji, a wkrótce zawarli z nią w Rapallo traktat przyrzeczenia.

„To są grzechy dawnego reżimu — odpowie pan Goebbels — odcinamy się z całą stanowczością od odpowiedzialności za te sprawy”.

A jaka była polityka nazistowskich Niemiec wobec ich czerwonego antagonisty? Oto Hitler natychmiast po objęciu władzy przedłużył wyżej wspomniany układ z Rapallo. Równocześnie zaczyna szukać sprzymierzeńców dla już wówczas projektowanej wyprawy przeciw Związkowi Sowieckiemu, wyprawy, która pod pozorem krucjaty ideologicznej miała być nie czym innym, jak zbrojną kon-

tinuacją odwiecznego „Drang nach Osten”. Jedną z przesłanek, którymi kierowali się Niemcy proponując Polsce zawarcie układu o nieagresji, była cicha nadzieja, że układ ten zamieni się z czasem w traktat przyrzeczenia, którego ostrze skierowane byłoby przeciwko Rosji. W tym też kierunku szły przeszło pięć lat trwające wysiłki dyplomacji niemieckiej obiecującej Polsce, w razie zgody na tego rodzaju koncepcję, bardzo pociągające kompensaty terytorialne na wschodzie.

Polska, jak wiadomo, nie poszła na lep niemieckich propozycji. Nie poszła z kilku powodów. W pierwszym rzędzie — odczuwała głęboką niechęć do interwencji w cudze wewnętrzne sprawy. Stałymi zawsze i stoimy nadal na stanowisku, że każde państwo ma prawo rządzić się u siebie według własnego uznania. Będąc zdecydowani odepierać każdą próbę narzucenia obcego nam ustroju nie czulimy się powołani do brania udziału w kombinacjach politycznych, które by miały na celu dokonywanie przewrotów u naszych sąsiadów. Po drugie, Polska świadoma była tego, że jej zadaniem jest aby była czynnikiem równowagi między swymi dwoma wielkimi sąsiadami i że angażując się w jakikolwiek sposób z jednym przeciwko drugiemu, przyczyniłaby się do naruszenia tej równowagi, przez co pokój świata byłby narażony.

Niestety, przyszedł układ moskiewski z 23 sierpnia 1939 roku i jego konsekwencją — nowy rozbiór Polski. Niemcy, które do tej chwili prowadziły najostrożniejszą propagandę antybolszewicką, które tak, jak dziś to ponownie czynią, piętnowały Sowietów jako wroga cywilizacji, czynnie oddały im w 1939 roku połowę ziem polskich, państwa bałtyckie, oraz wolną rękę w działaniu w stosunku do Finlandii i Rumunii. Jednocześnie Hitler uroczysto ogłosił, że zamierza żyć z Rosją w wieczystej przyjaźni, że ustalenie wspólnej granicy rosyjsko-niemieckiej jest gwarancją pokoju w tej części Europy, że nie dopuści, by sprawa polska zmąciła dobre stosunki sowiecko-niemieckie.

Niespełna dwa lata trwało na wschodzie Europy nowe porządek, którego ceną były nieopisane cierpienia Polscy, utrata niepodległości przez Litwę, Łotwę i Estonię, wojna fińsko-sowiecka i spór Rosji z Rumunią.

Usunąwszy zaporę, jaką była na jego drodze na wschód Polska i rozwiązawszy sobie ręce na zachodzie, Hitler realizuje w dniu 22 czerwca 1941 roku zamierzenie, które było wytyczną jego polityki — napad na Związek Sowiecki.

Wszystko, co nastąpiło przedtem, było tylko środkiem. Napad na Polskę jak i wojna na zachodzie miały na celu jedno — stworzenia sobie możliwości dla uderzenia na Rosję.

Od czterech blisko lat szaleje we wszystkich częściach świata najstraszniejsza z wojen. Narody, na których terenach się ona toczy przeżywiają okres niezmiernych cierpień. Największe nasilenie działań wojennych ma jednak miejsce na terenach Rosji. Związek Sowiecki z największym tylko wysiłkiem, przy wydatnej pomocy, jaką mu dostarczają sprzymierzeni, odwrócił od siebie los, który spotkał inne narody Europy.

Wojna daleka jest jednak jeszcze od zakończenia i nikt dziś przewidzieć nie jest w stanie, jakich jeszcze ofiar ze strony ludzkości wymagać będzie.

Hitler woła z emfazą: „Świat chrześcijański jest w największym niebezpieczeństwie”. Powinienby raczej powtórzyć za Faustem: „Duchów, które rozpetąłem opanować nie mogę”.

Na tle rozgrywanej się tragedii dziejowej w świetle wydarzeń ostatniego czterolecia, uwidatnia się w całej pełni kluczowe stanowisko Polski, jako czynnika decydującego, jeżeli chodzi o zachowanie bezpieczeństwa i spokoju we wschodniej Europie, a tym samym na całym świecie.

Dopóki Polska istniała jako państwo niepodległe i dzielne, niczym bariera nie do przebycia, dwa wrogie sobie prądy: czerwony i brunatny, tak długo nie mogło dojść między nimi do starcia. Na świecie panował pokój Całość i niepodległość mniejszych państw na wschodzie Europy były zabezpieczone. Upadek Polski pociągnął za sobą zarazem obalenie tego porządku. Tak jak w 1914 r. bezpośrednie sąsiedztwo dwóch antagonistycznie nastawionych imperializmów: carskiego i wilhelmowskiego spowodowało pierwszą wojnę światową, tak i teraz zetknięcie się hitlerizmu z bolszewizmem musiało doprowadzić do nowej katastrofy. Imperializm bowiem niemiecki, pomimo zmiany ustroju, pozostał nie tylko

ten sam, ale wielokrotnie jeszcze spotężniał w swym dynamizmie.

Tak więc istnienie samodzielnego państwa polskiego leży nie tylko w interesie pokoju i w interesie państw mniejszych, ale także w interesie Rosji. Atak na Rosję, który by musiał przejść przez terytorium niepodległego państwa polskiego, z pewnością nie doprowadziłby Niemców do przedpoła Moskwy, Leningradu i Stalingradu.

Polska powinna i może być skłepieniem bezpieczeństwa Europy. Aby jednak to zadanie wypełnić mogła, musi dysponować odpowiednią siłą.

Polska mała, zamknięta w ramach swych czysto etnograficznych terytoriów, pozbawiona odpowiednio szerokiej dostępu do morza, bez skróconej, nadającej się do skutecznej obrony granicy nie mogłaby wypełnić misji strażnika porządku we wschodniej Europie.

Polska słaba — to wieczna pokusa dla agresywnych sąsiadów. To źródło nowej serii wojen i klęsk wynikających dla całej ludzkości.

I dlatego, nie tylko dla dobra własnego ale dla bezpieczeństwa całego świata — jesteśmy skazani na wielkość.

Zbigniew Racięski

## ŻYCIE KULTURALNE WARSZAWY

Warszawa walczy. Walczy w podziemnej robocie konspiracyjnej, walczy w licznych tajnych organizacjach, poświęca wolność i życie najlepszych swych synów. W walce tej ponosi wielkie straty, ale jednocześnie dzień po dniu przygotowuje nowe kadry świadomych bojowników o wolność. Warszawa bowiem pomimo krwawego terroru okupacji potrafiła stworzyć nowe życie kulturalne: nową literaturę, sztukę, a nawet naukę.

Literaci Warszawy dzielą cygańskie życie niepodległościowców (dzisiaj, jutro tam...), głodując więcej niż przeciętnie, ich zawód nie zostawia im czasu na pracę zarobkową. Jako pisarze rozpadają się na dwie grupy: tych którzy w ukryciu piszą wielkie, piękne rzeczy, mające okazać się najazutem po odzyskaniu wolności — oraz tych, którzy zdzierają swój talent, redagując tajną prasę, pisząc niezliczone ulotki i broszury. Jedni i drudzy są potrzebni. Potomność oceni wdzięcznie pierwszych, doraźnie sympatie społeczeństwa kierują się ku drugim.

Tajna prasa jest bogata i różnorodna. Wybitniejsze periodyki służą oczywiście przede wszystkim sprawom politycznym, nie brak jednak takich, które zajmują się równocześnie kwestiami kulturalnymi i cieszą się wielką poczytnością. Wywołują one polemiki i długotrwałe echa. Co pewien czas ukazują się „miesięcznik literacki”, poświęcony wyłącznie sprawom literackim. Parokrotnie ukazywały się tomiki poezji wojennej. Publiczność je natychmiast rozczłowiła.

Artyści i artyści sceniczni nie występują nigdzie od 3 lat. Siedzą w więzieniu, lub pracują jako kelnerzy w kawiarniach. Jednak niektórzy pracują twórczo. Opracowują nowe sztuki na jutro, szkolą nowych

artystów, układają nowe repertuary i organizują na przyszłość trupy obywatowe z myślą przede wszystkim o tych, którzy ulegli częściowemu wynarodowieniu na Śląsku i Prusach Wschodnich. Czasem potrafią nawet zorganizować tajne imprezy sceniczne, jak akademie okolicznościowe lub misteria religijne.

Życie muzyczne koncentruje się w nielicznych kawiarniach, gdzie mogą uczęszczać Polacy. Są one zawsze przepełnione i trudno zdobyć w nich miejsce. Ale ci, którzy zdążają zdobyć to miejsce, mogą posłuchać dobrej muzyki w wykonaniu nieraz wirtuozów o wysokiej klasie. Natomiast koncerty orkiestr ulicznych zostały niestety przerwane, gdyż Gestapo orkiestry te prawie całkowicie zlikwidowało.

Całkiem źle natomiast dzieje się z malarstwem i rzeźbą. Szkice obrazów, projekty posągów, pomniki przyszłej chwały rodzą się i giną bez możliwości realizacji, a nawet bez możliwości utrwalenia niejednokrotnie doskonałego pomysłu. Brać artystyczną, nieprzygotowaną do takiego życia, wymiera z głodu i głodu.

Wyższe i średnie uczelnie polskie władze niemieckie zamknęły, ale nie potrafiły zahamować pędu społeczeństwa do nauki. Profesorowie, nauczyciele i studenci dzielą się wiedzą z młodzieżą na spotkaniach w domach prywatnych, przestrzegając przy tym polskiego programu nauczania.

Pomimo surowego zakazu gromadzenia się odbywają się odczyty, wieczory dyskusyjne, zebrania prasowe i inne. Poziom ich jest wysoki, wyższy niż przed wojną, tak że życie umysłowe nawet pogłębiło się i rozrosło. Tam, gdzie przed wojną grano w brydza lub plottowano, dziś dyskutuje się sprawy zasadnicze, mające duże znaczenie dla przyszłej niepodległej Polski.

(P. A. T.)



Pewien generał francuski powiedział kiedyś: „O ile armię francuską można nazwać „la grande muette — wielka niemowa” — o tyle francuską Legię Cudzoziemską można nazwać „la grande calomniee — wielka spotwarzona”. Brzmi to nieco dziwnie, ale tak jest w rzeczywistości. Niemową jest armia francuska — bo aż do ostatnich czasów człowiek noszący mundur wojskowy nie mógł zabierać głosu w sprawach politycznych, nawet w kwestiach najbardziej żywotnych, dotyczących jego ojczyzny.

#### ZŁA REPUTACJA

Spotwarzona jest Legia Cudzoziemska. Nigdy nie zapomnę chyba tych uśmiechów na twarzach ludzi, którym mówiłem że służyłem „aż” 5 lat w tej Legii. Był to czasami uśmiech, oznaczający litowanie się nad moją osobą, ale przeważnie oznaczał on mniej lub więcej ukrywana pogardę. Bo jakże — wiadomo przecież rzeczą jest ogólnie, że legionista francuski, jeśli nie ojca — matkę zamordował, to na pewno kogoś z dalszych krewnych. No ostatecznie, jeśli już nie zamordował, to obrabował... i schował się w Legii. To zdanie tak się rozpowszechniło po całym świecie, że przeniknęło do literatury, nawet do filmów amerykańskich. Pamiętam, że na kilka lat przed wojną w Polsce popisywał się w prasie brukowej, ba, nawet „popenił” książkę pod wiele obiecującym tytułem „Dziesięć lat piekła” — niejaki B. Swego czasu zdemaskował go w „Słowie” wileńskim za pośrednictwem dr. Ch., obecnie też „gdzieś na wschodzie” przebywającego. Rzecz oczywista, że w książce tej ani krzty prawdy nie ma — autor pewno i w Legii nie był — ale te straszliwe bzdury, mimo wszystko, na pewno przyczyniły się jeszcze więcej do skrytalizowania się w umyśle przeciętnego człowieka pojęcia o Legii — pojęcia najbardziej tę Legię krzywdzącego. Obecnie jest prawie niemożliwe opinię tę poprawić. To tak jak z ludźmi — raz zespuła, choć niesprawiedliwie, reputację szalenie trudno jest oczyścić z zarzutów. Zawsze człowiek taki będzie wywoływał na twarzach cnotliwych osób grymas a dokoła szeptał: „Wie pani? ... To ten, co omal, że...” i tak dalej. Tak samo z Legią. „Wie pani, toż tam złóje, mordery, złodzieje...” Nie przeczę, kiedyś być może za czasów Napoleona III, czy przy końcu ubiegłego stulecia, kiedy jeszcze fotografia, daktyloskopia były w załazkach, mogli się ukryć w Legii mordery czy bandyci, ale teraz!...

#### PRZYBYWA TRANSPORT

W 1922 roku byłem jako kapral przydzielony do punktu przejściowego Legii w Oranie, dokąd przybywały transporty nowych legionistów z Europy. Widziałem tysiące typów. Oto — pan we fraku, lakierkach, Szwed, prosto z Monte-Carlo. Oto Włoch w płóciennych pantoflach na bosą nogę, obdartus, prosto z granicy włoskiej. Oto żołnierz belgijski jeszcze w mundurze wojskowym,

dezter, kilku Francuzów, podających się za Belgijczyków, lub za Hiszpanów, drobnych złodziejasków, bankrutów, czy po prostu samobójców moralnych. (W nawiasach mówiąc — stosunkowo wielki jest odsetek ludzi, których zawód miłośny aż do Legii doprowadził). Wszystkie te typy toną w istnej powodzi ludzi, prawie podlotków jeszcze, już ubranych w mundury francuskie. To są przedstawiciele stałego dostawcy Legii — Niemiec! Bo trzeba wiedzieć, że aż do czasów ostatnich, przynajmniej większość legionistów stanowili... Niemcy. Jak już powiedziałem służyłem w Legii pięć lat, od 1921 r. do 1926 roku. Niemcy stanowili stale co najmniej 70% ogólnej ilości żołnierzy... Ale zabiegłem naprzód... Więc przybywa taki transport do Oranu. „Panie kapralu proszę ustawić swoich ludzi w jeden szereg” — zwraca się do mnie przedstawiciel tajnej policji. I kilku takich cywilów powoli idzie wzdłuż szeregu i przygląda się uważnie twarzom nowoprzybyłych. W rękę — album z fotografiami poszukiwanych zbrodniarzy. Za chwilę grzeszcy ukłonn. Dziękujemy. Może pan prowadzić.

#### NOWE ŻYCIE

Za kilka dni cały transport już jest w stolicy Legii, w Sidi-Belebales, a jeszcze za kilka miesięcy — na różnych posterunkach w Algierii, Tunisie, Sabarze, Maroku, Syrii czy Indochinach. Nie twierdzą, rzecz oczywista, że do Legii idą sami aniołowie. Ale twierdzą stanowczo, że 90% tych złodziejasków, awanturników, sutenierów, zostawia swą przeszłość wraz z ubraniem cywilnym u bram Legii i rozpoczyna nowe życie w ubraniu legionisty. A jakie stosunki między kolegami? Gdzie można znaleźć tyle przykładów prawdziwego koleżeństwa, poświęcenia?! Tam jest prawdziwe braterstwo broni. A co za pyszne typy!

#### LEGIONISCI

Oto kapral V. Hobruk — którego dyrektor Lionskiego Kredytu, banku powszechnie znanego, żegna jeszcze przy drzwiach i skwapliwie podsuwa karnet czeków do podpisania.

Oto de Bierre — stary legionista. Rodowity Francuz. Wspaniale mówi po rosyjsku. Mieszkał w Petersburgu u brata — attaché francuskiej ambasady. Wiecznie milczący. Tylko gdy ma w czubie parę kieliszków — zaczyna godzinami deklamować Corneille'a czy Ronsard'a.

Oto szeregowiec Szwaboda — Czech z Bratystawy. Nie ma ani jednego oficera zaczynając od dowódcy batalionu, któryby nie był mu winien kilkaset franków, nie mówiąc już o podoficerach czy żołnierzach. Był wspaniałym kolegą, a w cywilu — słynnym międzynarodowym włamywaczem, którego policja dopiero w trzy lata później odszukała, ale której pułkownik — dowódca I pułku Legii odmówił wydania żołnierza bez skazy. Oto — Zenobi Peszkow, syn Maksima Gorkija, kapitan bez ręki, kulawy...

Oto książę Haag duński — kapitan dowodzący za moich czasów jedną z konnych kompanii pułku. W chwilach wolnych rozbija się po knajpach z żołnierzami, na służbie — biada temu, kto o tym przypomni.

Oto sierżant Hymanse, Belg w cudzystwie, rodowity Francuz, którego sędziwy marszałek Franchet d'Esperay ścisnął i całował, gdy go zobaczył w szkole podoficerskiej. Stary znajomy, podobno jego szef sztabu podczas wielkiej wojny.

I setki, tysiące innych.

A oto, w dalekim miasteczku, niedaleko od granic Sahary — mogiła

na niedużym cmentarzyku. Nad mogiłą krzyż z napisem: Juliusz Meier, sierżant...

Krzyż jest, ale mogiła pusta. Bo po ciału zmarłego sierżanta, kawalera Krzyża Wojennego i kilku medali, przybył ongiś do Oranu krążownik niemiecki. Na podstawie rozkazu rządu francuskiego wykopano trumnę, przewieziono do Oranu i załadowano na krążownik, który odpłynął z opuszczeniem na znak żałoby banderą Reichu. Oczywiście, że nie po sierżancie francuskim była ta żałoba, ale po bratanku kaiserza Wilhelma II, wtedy jeszcze panującego.

Aleksander Zaliwski

## NA MAŁEJ STACYJCE

Mała stacyjka. Mój Boże! Ileż to razy zdarzało się człowiekowi być na takiej małej stacyjce kolejowej, gdzieś tam... Na stacyjce bocznej linii kolejowej, gdzieś w zapadłej dziurze. Pamiętam... Ech, te reminiscencje...! Na każdej takiej stacyjce urzęduje zawiadowca, co to jednocześnie jest kasjerem, magazynierem, telegrafistą i w ogóle jest personelem.

Ma taki zawiadowca do pomocy jednego człowieka, który z kolei również jednocześnie jest droźnikiem, stróżem, bagażowym oraz tragarzem.

Stół taka mała stacyjka zwykle gdzieś w górach albo na polu, gdzie jak okiem sięgnąć dokoła nie widać siedzib ludzkich. Po prostu wygwizdów. I zastanawia się człowiek — czekając na pociąg, co to ma nadzieję z opóźnieniem — jak daleko ma ten „personel” do domu, lub wręcz odnosi się wrażenie, że ten zawiadowca nie bywa nigdy przez nikogo zmieniany, że ten zawiadowca tkwi w tej stacyjce, „z kośćcami”. Póki stacyjka, póty i on, zawiadowca i vice-versa.

Znalazłem się na takiej stacyjce pewnego razu w Iraku. „Wygwizdów absolutny”. Wszedłem do kancelarii zawiadowcy, która służy jednocześnie za poczekalnię. Godzina 12 w nocy. Tak, jak gdzie indziej. Ten sam stół duży, na nim lampa naftowa, aparat telegraficzny, taki sam kałamarz ze zgeszczonym atramentem, obsadka, trochę papierów, formularzy, maszyna do stemplowania biletów, jednym słowem — kropka w kropkę — te same akcesoria, jakie znajdują się na wszystkich takich stacyjkach. Aha! I zegar cykający na ścianie... taki jak gdzie indziej przeciętny, a jednak to cykanie... do licha z tym cykaniem! Ze też to zawsze takie cykanie o zmierzchu, a przeważnie opóźniony — przy niewielkim świetle lampy naftowej, gdy przedmioty rzucone cieniami na ścianę wyrażają olbrzymie — musi na człowieka naprawdę zdziwić takie jakieś różne myśli! I zapomina się, że ten Arab z czarną brodą, co to w kącie derżmie, to przecież nie żaden Abramko, ten pachciarz z Ostrej Wólki, ten co to ogród owocowy brał w arendę od wujenki Anielci... a ten drugi Arab, otulony opończą i zgięty w pałąk, to nie żadna baba z bańkami mleka

i kobiałką z nabiałem, a nawet sam zawiadowca, którego zbudziły sygnały Morse'a nie jest żadnym panem Malinowskim, Wiśniewskim czy jakimś innym na-ski, ale najwyczajniejszym Ali-Musufem, czy jak go tam... i w żaden sposób człowiek nie jest w stanie jakoś zrozumieć, że ta palma przed budynkiem stacyjnym nie jest żadną lipą, naszą lipą, co to chyba najcudniej na świecie pachnie i że to w ogóle teraz jest marzec, a nie lipiec. Nic nie pomaga. Człowiek nie ma sily uszczepnąć się. A zapach tej sily wlewa się w serce, w serce żołnierza tułacza. Rozlewa się ten najcudniejszy ze wszystkich zapachów po całym sercu, rozlewa się po mózgu. A zegar cyka... Tak jak w domu wtedy... gdy babunia kołysała cię do snu bajkami z tysiąca i jednej nocy... wtedy kiedyś ty opowiadał swojemu synkowi te same bajki o latającym dywanie, o Ali-Babie, o Bagdadzie... Bagdad!... Piękne są bajki o bagdadzkiej Szeherazadzie opowiadane... u nas w domu, gdy zegar cyka...

Władysław Janekci

## CZY WIECIE, ŻE...

Sir Edward Inglefield, były admirał marynarki brytyjskiej, prowadził w Londynie, z motywów patriotycznych, małą fabryczkę, która nie przynosiła zysków. W fabryczce tej wytwarzane są miedziane części dla obsługi radiowej samolotów. Przed wojną fabryka ta produkowała zabawki dla dzieci.

\* \* \*

Powołany obecnie przez Hitlera na stanowisko dowódcy niemieckiej floty wojennej po adm. Roederze, adm. Doenitz, podczas pierwszej wojny światowej był kapitanem jednego z okrętów wojennych, następnie po kontuzji umieszczony został w szpitalu dla umysłowo chorych, gdzie między innymi cierpiał również na lanatyzm. Po wyjściu ze szpitala został ponownie przyjęty do marynarki i obecnie otrzymał wysokie stanowisko.

# O CO CHOPINOWI CHODZIŁO

Siadało się ongi w nie tyle wygodnym, ile szerokim fotelu Filharmonii Warszawskiej i słuchało się dobrej muzyki. Zblazowani bywalcy tej instytucji w czasie przerwy, ewentualnie po koncercie omawiali w modnym lokalu utwory i wykonawców popisując się przeważnie znajomością prywatnego życia którejs z sław. Do dobrego tonu należało mówić zimno i negligable o muzyce, co zaś się tyczy życia prywatnego wielkich kompozytorów, dopuszczalne było użycie tonacji bardziej namiętnej. Tak było z reguły, gdy się słuchało Bacha, Bethovena, Mozarta. Ale gdy grano Chopina, wszystkie zasady dobrego tonu brały w łeb, jego muzyka łamała tradycje bywalców, a koncerty chopinowskie były omawiane w najwyższym podnieceniu, przy czym po raz tysięczny i któryś stawiano i obalano problemy estetyczne związane z epoką „małego Fryderyka”.

Mój Boże, w tych spokojnych czasach mogliśmy bez większej szkody (ale i bez większego pożytku) wynosić Chopina pod, a nawet ponad niebiosy i strącać go w schowanki muzealne, w krypty zasłużonych i przebrzmiałych. Znany na pamięć tam i z powrotem, Chopin umiał wleźć za skórę naszej świadomości poaestetycznej, obalić granice odczuć zarezerwowanych dla kontemplacji czysto artystycznej — i nie wiedzieliśmy czemu tak jest.

Świadomi tego stanu rzeczy, tych przyczyn poszukiwali namiętnie. Nie sposób tu wyliczać rzeczy na ogół znanych, ale przypominam sobie dobrze zdanie pewnego początkującego pianisty, chłopca bardzo przystojnego, o przyszłowiej umysłowości tenora, z którego serdecznie i po wszechnie się nabijano.

Powiedział więc ten chłopak, dla którego muzyka zaczynała się od Chopina i na Chopinie się kończyła, że kiedyś wszyscy „przyjdą na jego podwórko i zrozumieją, o co Chopinowi w jego muzyce chodziło”. Jakieś bóstwo użyło tego chłopca w charakterze głosiaka.

Na prawdę potrzeba było roku 1939 i naszej tułaczki na obczyźnie, aby tę prawdę o Chopinie zrozumieć. Nasze przeżycia obecne umożliwiły nam zrozumienie sytuacji, w jakiej znalazł się Chopin po roku 1830. Zbliżyliśmy się do uczuć Chopina, do tego wszystkiego, czym on żył, o czym on myślał i co go pobudzało do twórczości. To, czym są teraz dla nas Warszawa i Wilno i Kraków, tym dla Chopina były melodie polskie. W jego polonezach jest ta sama duma narodowa, której i my dziś jesteśmy pełni, gdy mówimy o Polsce Jagiellonów, Batorów, Sobieskich. I wszystkie konsekwencje pobytu Chopina za granicami kraju, współżycie na codzień z obywatelami krajów niezależnych i zamożnych, cały ten świat, w którym opowieść o naszych cierpieniach była zaledwie tolerowana, gdzie trzeba było bawić się i bawić, jakże to wszystko stało się dla nas zrozumiałe.

W salonach „a giorno” Chopin dobrze zdawał sobie sprawę z kontrastów zachodzących w tym samym czasie na odległości Warszawy. Wyroki śmierci i deportacje... Chociaż Chopin nie był bezpośrednim uczestnikiem, lub chociażby widzem powstania, sprawy te były mu dobrze znane. Był Chopin w tych salonach człowiekiem, który wiedział coś, czego ten rozbawiony tłum nawet nie podejrzewał. Chopin, siadając do fortepianu, z wysokości wtajemniczo-

wego w odrotną stronę życia, dawał łaskawym słuchaczom okruciny tej wiedzy. Epatował tłum. Dziwili się koneserzy, że żart-scherzo tak boleśnie brzmi w kompozycjach Chopina, nie rozumieli zagadkowej muzyki ostatniej części sonaty b-moll, wręcz oskarżali go o brak smaku.

Niewątpliwie to, że Chopin był chorym człowiekiem ma swoje znaczenie dla jego kompozycji, jak również i przykrości w życiu prywatnym, jak i czar Mozarta, i wpływ Fielda i poezje Mickiewicza, może i deszcz za oknem i pieśń kręcący się wokoło ze znanej o nim anegdoki, ale wiązała to wszystko — jego wiedza o życiu tamtym, bezlitosnym, okrutnym życiu w Polsce pod knutem moskiewskim i świadomości kontrastów: światła paryskiego, spokojnego, zadowolonego — i tego drugiego nabrańskiego rozpacz i męką. Nie jeden z tych, którzy uciekali z kraju,

docierał do Chopina i opowiadał mu o tym, jak tam jest, co się stało z jego najbliższymi przyjaciółmi i znajomymi. Z pewnością musiał Chopin tłumaczyć niejednokrotnie obcym, że Polska... że w Polsce... o Polsce... Domyślał się, że musiał w jakimś stopniu odczuwać to samo, o czym dziś wie każdy żołnierz polski, że się jest ambasadorem kraju za granicą, że należy, używając tu tego słowa, uprawiać propagandę polskości wśród obcych.

A że i swary były, i spory i wiadomości z kraju, że „porządek panuje w Warszawie”, że piękne Polki tańczą z oficerami moskiewskimi, to wszystko też jest w muzyce Chopina.

Gdy Chopin wracał po koncercie „do domu”, chory i zmęczony, myślał o sztuce płacząc z myślą o Polsce, nie mógł dobrze czuć się w tym domu. Wreszt nie miał własnego, „dom jego ojców” pozostał w kraju, który

jego wyobraźnia piękniejsza, wyidealizowała, wystylizowała, tak jak polskie, a przecie nieautentyczne są melodie jego utworów.

Cierpienia naszych rodaków po roku 1830 są bardzo podobne do naszych po 1939 roku. Bez większego wysiłku możemy sobie wyobrazić Fryderyka Chopina jako więźnia, zesłanego na roboty gdzieś daleko na północ Rosji, możemy sobie wyobrazić że jego wysmukłe palce trzymają kilof czy łopate, że kaszląc i oblewając się potem śmiertelnym, wozi taczkę, popychany, łżony... ot, jeszcze jeden więzień-Polak.

Dobrze się stało, że opuścił Polskę przed wybuchem powstania, bez narażenia się na tego rodzaju ewentualność. Gdyby był zostal, może przybyłoby do rządu umęczonych jeszcze jeden bezimienny — może zabrałoby jeszcze jednego Wielkiego Polaka.

Wacław Radulski

## AMBASADOR BRYTYJSKI WŚRÓD ODDZIAŁÓW POLSKICH

Armia Polska na Wschodzie gościła w dniach 5 i 6 marca b. r. ambasadora brytyjskiego w Iraku sir Kinahana Cornwallisa z małżonką.

W dniu 5 marca przybywającego ambasadora wraz z małżonką w towarzystwie posła R. P. w Bagdadzie min. Malhomme oraz oficerów brytyjskich powitał na terenie zakwaterowania dtwa Armii Polskiej gen. Anders w otoczeniu wyższych oficerów polskich.

Dnia 6 b. m. ambasador Cornwallis z małżonką oraz towarzyszący mu goście wraz z min. Malhomme odwiedzili oddziały polskie. W godzinach przedpołudniowych lady Cornwallis w towarzystwie głównej inspektorki P. S. K. Wyslouchowej zwiędziała obóz ochotniczek oraz szpitale. Lady Cornwallis specjalnie interesowała się pracą ochotniczek zatrudnionych w kancelariach, świetlicach, gospodach, kuchniach wojskowych. Zaglądając do małych lecz schludnie utrzymanych namiotów i świetlic wypytywała o warunki pracy kobiet w wojsku. W świetlicy Pal żołnierze i ochotniczki zainscenizowali tańce i śpiewy ludowe przy współdziałaniu własnego kwartetu muzycznego.

Ambasador Cornwallis w towarzystwie min. Malhomme oraz gości udał się na ćwiczenia bojowe przeprowadzone w pobliskich górach przez jedną z dywizji. Tematem ćwiczeń był marsz ubezpieczony i natarcie zmotoryzowanego baonu strzelców, wzmocnionego dyonem artylerii, szwadronem kawalerii pancerniej,

kompanią ckm, plutonem „ppanc., moździerzyami.

W chwili gdy ruszyły samochody wiozące ambasadora i gości, mżył drobny deszcz. Trasę około 50 km do miejsca ćwiczeń przebyto polowymi drogami pomiędzy wzgórzami i malowniczymi rozpadlinami i jarami.

Rakieta świetlna była sygnałem do natarcia. Pod osłoną ognia artylerii, moździerzy, broni mechanicznej i zaston dymnych piechota ruszyła do natarcia. Ze wzgórz, mimo niepogody, ambasador Cornwallis z zainteresowaniem śledził przez lornetkę przebieg akcji. Mimo niekorzystnych warunków atmosferycznych ćwiczenia wykazały doskonałą sprawność, świetną organizację i opanowanie nowoczesnej broni przez naszych żołnierzy. Był to dla gości piękny i niezapomniany obraz bojowy. Po ćwiczeniach goście udali się na śniadanie do dywizji wileńskiej. Ambasador Cornwallis, oprowadzany przez dęć tej dywizji, zwiędził świetlicę w oddziałach.

Wieczorem w innej dywizji odbył się obiad i koncert na cześć gości. Dca Armii Polskiej na Wschodzie gen. Anders witał ambasadora i jego małżonkę wygłosił przemówienie dziękując za odwiedziny. Gen. Anders oświadczył, iż wita serdecznie ambasadora nie tylko jako przedstawiciela Jego Królewskiej Mości, ale naszego przyjaciela. „Lady Cornwallis ma ten niesłychany dar zjednywania sobie ludzi, których spotyka — oświadczył gen. Anders. Na pewno nigdzie nie cieszy się tak

szczerą sympatią, jak tutaj między nami. Znam stare przysłowie które mówi: „Dziecko za rękę, matkę za serce”. My za opiekę nad naszymi dziećmi jesteśmy jej z całego serca wdzięczni. Jest rzeczą znaną — mówił dalej gen. Anders — że przyjaźń między narodami zawiera się na wspólnym polu bitwy”. Kończąc swe przemówienie gen. Anders oświadczył — „Mamy wiarę w przyszłość i wierzymy, że nasze straty i cierpienia nie pójdą na marne. Wierzę, że przyjaźń pomiędzy W. Brytanią i Polską okaże się długotrwała i szczerą.”

Z kolei ambasador Cornwallis podziękował za miłe słowa, którymi powitał go dca Armii Polskiej na Wschodzie i serdeczną gościnę. Ambasador w przemówieniu swym oświadczył: „Nie mam zamiaru wygłaszać tutaj podczas dzisiejszego wieczoru oficjalnego przemówienia, lecz pragnę podzielić się z wami kilkoma wrażeniami. Przede wszystkim chcę podziękować, że my Brytyjczycy niezwykle wysoko cenimy i szanujemy Polskę i Polaków za ich wspaniałą walkę przeciwko tyranii hitlerowców. Nie zapomnieliśmy i myślę, że nigdy nie zapomnimy, że Polska pierwsza wyciągnęła miecz w obronie wolności w gigantycznej walce, w której obecnie wszyscy bierzemy udział. Jesteśmy z dużym podziwem dla wytrwałego męstwa, cechującego Polaków, którzy znoszą cierpienia zadawane im przez brutalność Niemców od chwili zajęcia ich kraju. Jesteśmy wszyscy dumni z tego, że jesteśmy waszymi sprzymierzeńcami i trwamy w przekonaniu, że Polacy, którzy tak wspaniale walczyli, już niedługo wspólnie ze swoimi sprzymierzeńcami będą triumfować nad swymi wrogami i zajmą należne im miejsce wśród wielkich narodów świata. Wojska polskie, które miałem sposobność tutaj widzieć, potęgują we mnie przekonanie, że to niechybnie nastąpi”. Kończąc przemówienie ambasador Cornwallis oświadczył: „Pragnę jednocześnie złożyć wam płynące z głębi naszych serc życzenia powodzenia we wszystkim co was spotka w przyszłości. Gdziekolwiek pójdziecie i cokolwiek podejmiecie, życzę wam dużo szczęścia, a przede wszystkim jaknajszczęśliwszego zwycięskiego powrotu do kraju i waszych domów.”

K. C.

## WYJAZD MINISTRA ST. KOTA

Dotychczasowy Pełnomocnik Rządu R. P. na Wschodzie, b. Ambasador R. P. przy Rządzie Sowietkim, prof. Stanisław Kot wyjeżdżając do Londynu przesłał na ręce Dcy Armii Polskiej na Wschodzie gen. Wł. Andersa następującą depeszę:

Dzisiaj wyjeżdżam. Przesyłam wyrazy pożegnania i najlepsze życzenia Panu Generałowi i Armii pod jego świetnym dowództwem.

8. III. 1943 r.

ST. KOT

## SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

ZAWSZE MÓW PRAWDĘ — NAWET O WŁASNEJ OJCZYZNIE.  
KAZDY MUSI UMIERAĆ ZA OJCZYZNĘ, NIKT NIE MUSI KLAMAĆ  
DLA NIEJ. (MONTESQUIEU)

# Prasa wojskowa na Środkowym Wschodzie

Nie było, nie ma i nie będzie wojska bez kucharzy i bez kuchni. Nie ma wszakże armii nowoczesnej bez innego jeszcze kotła — służby informacji i oświaty — w którym warzy się, przyrządza, przyprawia potrawę odmienną, lecz również pożądaną przez żołnierza — gazetę. Nie wiem czy ktoś w przyszłości zdoła zliczyć wszystkie polskie pisma wojskowe, drukowane i powielane, ścienne i zwykłe, pisane na maszynie lub wprost ręką, jednodniówki i czasopisma, które pojawiały się zazwyczaj samorzutnie w czasie tej wojny zaspokajając potrzebę tak dziś oczywistą — informowania żołnierza o wydarzeniach wojennych, o zadaniach Polski i naszych wobec niej obowiązkach. Człowiek współczesny nie obywatel się już bez wiadomości. Żołnierz, zwłaszcza jak nasz, oderwany od pnia rodzinnego, jest ich tym bardziej spragniony i nie powinien być ich pozbawiony. Szły więc polskie gazetki wojenne za żołnierzem wszędzie tam, gdzie mogły, towarzyszyły mu — o ile wróg pozwalał — w jego doli i niedoli, znacząc jego ślad swymi nieraz jakże skromnymi i bezpretensjonalnymi kartkami.

W wojsku polskim na Środkowym Wschodzie pierwsza gazeta polska nosząca tytuł „Ku Wolnej Polsce” powstała w obozie w Latrun 25 sierpnia 1940 r., a więc krótko po przeprowadzeniu się Brygady Karpackiej z Syrii do Palestyny. W wezwaniu „Do Czytelnika”, zamieszczonym w numerze pierwszym tego pisma przez d. Brygadę gen. Stanisława Kopańskiego czytano: „Niech więc ten prawdziwie nasz dziennik rozchodzi się wśród braci żołnierskiej, niech dociera do przełożonych i kolegów poza Brygadą, niech przedostaje się przez kordony i fronty do rodzin naszych, do naszej ukochanej ojczyzny.”

Jak rozumiała gazeta swą rolę, o tym świadczy jej słowo wstępne, zamieszczone w pierwszej rocznicy powstania pisma: „Kto kiedyś wertować będzie poźółkie już może karty rocznika naszego pisma, wyczyta w nich jedno:

— że Brygada dobrze rozumiała rolę, która jej z woli Opatrzności do spełnienia przypadła.

— że wiedzieliśmy, iż reprezentujemy wolę narodu — że przypaść nam honor reprezentowania armii polskiej i że winniśmy tworzyć legendę wojenną, którą karmić się będą pokolenia przyszłych żołnierzy polskich, jak myśmy karmili się legendą polskich żołnierzy napoleońskich;

— że wreszcie czuliśmy i rozumieli, iż każdy czyn nasz orężny — każda przelagawa bojowa — będą kapitałem politycznym narodu...”

Gdy Brygada jesienią 1940 r. wyruszyła z Palestyny do Egiptu, gazeta „Ku Wolnej Polsce” zmieniła również miejsce postoju. Ale znalazła tam dogodniejsze warunki działania rozszerzyła ramy swej pracy, wydała kilka numerów okolicznościowych i rozpoczęła wydawanie dodatków tygodniowych „Polska” i „Nasz Tygodnik”, dających informacje o kraju oraz materiał literacki i historyczny.

Po wyjściu Brygady do Egiptu pozostał w Latrun jej Ośrodek Zapasowy, nad którym dowództwo, po śmierci w lutym 1941 r. ś. p. płk. Rudki, objął gen. Kordian Zamorski. Głównie dzięki jego inicjatywie zaczął wychodzić w Latrun dwa razy dziennie nowy dziennik wojskowy —

„Gazetka Obozowa”, przekształcony następnie na „Biuletyn Obozowy”. Obok informacji organ Ośrodka Zapasowego dawał również artykuły różnego typu. W czerwcu 1941 r. Ośrodek Zapasowy został również przeniesiony z Palestyny do Egiptu — do Sidi Bishr pod Aleksandrią, gdzie „Biuletyn Obozowy” wychodził nadal.

W tym okresie Brygada znowu oddaliła się od O. Z. wyruszając do obleżonego Tobruku. Codzienne dostarczanie dla niej z Egiptu pisma „Ku Wolnej Polsce” okazało się niemożliwe. Pismo to po pewnym też czasie zaczęło kłaść główny nacisk na swoje wydawnictwo tygodniowe.

W Tobruku natomiast zaczęło ukazywać się najbardziej może oryginalne polskie pismo wojskowe, „Przy Kierownicy w Tobruku”. Wychodziło ono przez pięć miesięcy jako dwutygodnik, na powielaczu, ale i na zdobywym częściowo papierze włoskim. Ponadto w Tobruku ukazywał się biuletyn informacyjny „Głos Tobruku”.

Po powrocie Brygady z Tobruku do Egiptu i po utworzeniu dwa W. P. na Środkowym Wschodzie powstała nowa sytuacja. Brygada wreszcie spotkała się z Ośrodkiem Zapasowym, odrębne wydawnictwa obu tych jednostek okazały się zbyteczne. Rozkazem dcy W. P. na S. W. gen. Zajacza dokonano się w lutym 1942 r. połączenie obu wydawnictw.

Zaczęły wówczas pod wspólną nazwą ukazywać się dwa pisma: tygodnik „Ku Wolnej Polsce” oraz dziennik „Ku Wolnej Polsce — Biuletyn Informacyjny”. W kwietniu 1942 r. oba pisma przeniesiono do Palestyny na powitanie oddziałów polskich przychodzących z Rosji. Z dniem 3 maja tygodnik zaczął ukazywać się w druku i w tym charakterze wychodził do końca października 1942, kiedy jego ekipa redakcyjna stanęła przy nowym warsztacie pracy — „Orle Białym”. Niebawem wszakże na rozkaz władz część zespołu udała się do Kairu, by przystąpić tam do redagowania polskiego wydania czasopisma ilustrowanego „Parade”.

Biuletyn „Ku Wolnej Polsce” wydawany był w Palestynie na powielaczu od kwietnia do sierpnia 1942, kiedy został przeniesiony do Iraku, gdzie ukazuje się do dnia dzisiejszego.

Takie były losy „Ku Wolnej Polsce”. Należy jednak dodać, że w lutym 1941 r. zaczął ponadto na terenie Palestyny wychodzić dwutygodnik „Nasze Drogi”. W słowie wstępnym do pierwszego numeru pisma stwierdzał gen. Kopański: „Łączyć, skupiać i wznagać wszystkie rozproszone siły, zakładać mocne podstawy moralne dla polskich porywów do zwycięstwa — to są zadania polskiego słowa na łamach „Naszych Dróg” — pisma powołanego przez nas do życia”. Ukazało się 20 numerów tego wydawnictwa, które w dniu 15 listopada 1941 uległo zamknięciu.

Za wyjątkiem „Naszych Dróg” oraz 28 numerów tyg. „Ku Wolnej Polsce” wszystkie powyższe pisma wydawane były na powielaczu. Redagowali je przeważnie dziennikarze, ale czererów nie było, bo nie było maszyn, czcionek, linotypów. Zamiast czererów wstępował i. zw. „krętacze”, odbijający gazetki na gesteterze. Ich pracy, wykonywanej nieraz wśród żaru pustynnego zawdzięczać należy w niemałej mierze ukazywanie się pism. Obok „krętaczy” nieodzownymi okazali się piszący na maszynie. Obo-

wiązki te pełnili częściowo redaktorzy. Znaleźli się w tej dziedzinie specjaliści, którzy potrafili układać łamy na woskówkach z wprawą linotypu. Funkcję kolportera w jednym z pism pełnił przez pewien czas jeden z b. dygnitarzy państwowych w stopniu st. strzelca. Ludzi bowiem było mało do pracy. Wojsko nie tworzyło tak znacznej gromady jak obecnie i dowódcy niechętnie skierowywali żołnierzy do zajęć biurowych. Zanim ustaliły się przydziały personalne, przychodziło nieraz tłumaczyć Reutera między służbami na warcie lub po służbie przy jeńcach włoskich. Z angielskim bowiem były początkowo niemałe kłopoty zanim nie otrzaskano się z językiem naszego sojusznika.

Warunki były skromne i pisma miały również szatę zewnętrzną skromną, którą usiłowano jednak uczynić możliwie najbardziej staranną. Z jakim jednak nabożeństwem czytano w namiotach to jedyne wówczas słowo polskie, które dochodziło do żołnierza. Rzucano się na ostatnie wiadomości przed wyjściem na ranne ćwiczenia, omawiano wieczorem treść gazetki przy lampie naftowej. A był to ten okres wojny, kiedy po załamaniu się Francji wystawieni byliśmy na nową ciężką próbę moralną i psychiczną, Gazetka w tych chwilach starała się być najlepszym towarzyszem, doradcą, podporą

Oczywiście pisma wojskowe, choćby ze względu na szcuppole miejsca, nie mogły zaspokoić wszystkich żądań, ani uwzględnić wszystkich życzeń. Lecz już wówczas wyłoniło się nieśmiertelne zagadnienie poziomu pisma. Dla jednych był on za wysoki, dla innych — za niski. Na ogół wszakże prześladowały wszystkie redakcje zarzuty głoszące „zwykły żołnierz nie rozumie tego, co panowie piszą”. Zarzuty wychodziły jednak raczej od rezerwerów i snobów niż od masy żołnierskiej. Żołnierz bowiem rozumiał nienajgorzej. Co więcej — domagał się, by mu nawet najbardziej zawiłe sprawy wyjaśniano obiektywnie i wszechstronnie, prostym, oczywiście, stylem, ale właśnie z zachowaniem poziomu. Pragnął, by z pisma biła zdrowa wiara, ale nie fałszywy optymizm. Żołnierz nie chciał „bujania”, ukrywania przed nim niepewności, podawania mu wiedzy przykrzych w pigułce, z fałszywym uśmiechem słodczy. Chciał wiedzieć, co się dzieje i dlaczego dzieje się tak, a nie inaczej. Raz jednak nabrawszy zaufania wierzył pismu świecie. Ież to razy padały w na-

miołach słowa: „Nie uwierze, dopóki nie przeczytam w gazecie”. Ież dyskusji wywoływały artykuły zagnienione, poruszające sprawy trudniejsze na temat przeszłości i przyszłości Polski. Z jaką wdzięcznością przyjmowano opracowania informacyjne o narodowym socjalizmie, o Imperium Brytyjskim, Środkowym Wschodzie.

Wojna obaliła legendę o żołnierzu — Jasiu, dzielnym chłopcu, rwącym się do prania Niemców, ale poczciwie naiwnym. Żołnierz, który znalazł się po Wrześniu za granicą, głowy nie stracił, potrafił dać sobie radę, zmierzył pół świata, przedostał się przez kordony, nie znając przeważnie obcych języków, nie będąc zaopatrzonego w przewodniki oraz pieniądze i nie prowadzonego przez nikogo za rączkę — ten żołnierz w znacznej masie dał dowody bystrości, inteligencji i wyrobienia. W wielkomięskiej i wielolejczyńskiej Aleksandrii czuł się jak u siebie w domu, zaglądał na urlop do Kairu bez onieśmienia, wiedział o Luksozrze, mówił swobodnie o Afryce, Australii i Kanadzie, choć krajem najbardziej uroczym i najdroższym pozostała dla niego odległa, wymarzona Polska, tak jak dla dziecka matka nie przestaje być kobietą najpiękniejszą.

W kwietniu 1942 r. przybył nowy czytelnik — żołnierz z Rosji z wiezionym zapasem ponurych doświadczeń. Pamiętam, z jakim zaciekawieniem i przejęciem czekaliśmy na tę chwilę. Co będzie interesowało nowego czytelnika? Czego będzie się domagał? Pierwsza rozmowa wyjaśniła wiele. Po zwierzeniu się ze swych przeżyć począł wypyttywać o nieznane mu szczegóły przebiegu wojny, o polski wysiłek zbrojny, o Tobruk i ot., jak „było właściwie z tym Benghazim”, które tyle razy zmieniło gospodarza. Zainteresowania przybyśza z Rosji były te same, co wojaka z Egiptu. Był to ten sam żołnierz polski, umięjący i lubiący bić się z wrogiem, ale jednocześnie ciekawy, żywy, chcący dowiedzieć się o rzeczach, których nie znał lub nie rozumiał, ale które uważał za cenne i wartościowe. Zadaniem gazetek wojskowych nie przestawało być choć częściowe zaspokojenie tych wszystkich zainteresowań. Naciskowi zwłaszcza czytelnika — żołnierza zawdzięcza gazeta wojskowe swój poziom. Dlatego należało wspomnieć o tym czytelniku pisząc o prasie wojskowej na Środkowym Wschodzie. Bo sąd o niej niech wydadzą inni.

D. I.



Personel drukarni „Orla Białego”

# JAK TO JEST I JAK TO BYŁO W „ORLE”

Trudno, kochani Czytelnicy, ale w 50. numerze znajdując się musi artykuł biograficzny o naszym „Orle”.

Jest to zwyczaj uświęcony tradycją. tego domaga się nasza duża dziennikarska. Jestem wprawdzie przekonany, że zamiast tej „kobyły” nie jeden wolałby w trzy szpalty kroniki albo ładny obrazek. Ale mówi się „trudno” i czyta się dalej. Nie zniechęcajcie się, w zamian za waszą cierpliwość zdradzę wam pewne zakulisowe niedyskrecje o naszym zespole redakcyjnym, i jeśli kiedykolwiek taki pan z „Orla” przyjdzie do oddziału by was zanudzać adrezytem, będziecie wiedzieli kto — zacz.

Przed wszystkim powiem wam w największej tajemnicy, że słuszne są podejrzenia niektórych naszych autorów, iż pewne rękopisy skracane są pod wpływem wyraźnej tendencji (przez duże T). Dzieje się to w ścisłej konspiracji. Z wybićm północy zbieramy się w czarnych maskach w podziemiach naszego wydawnictwa, spuszczonej ze smyczy brytan redakcyjny, żarłoczny „Brzydala”, rzuca się na wybrane rękopisy. Sekretarka redakcji, pani Jadwiga, podsuwa mu co smakowitsze kąski. Co ocaleje z tej rzezi — idzie do druku. Nic dziwnego, że wobec takiego proceduru, niektórzy autorzy po przeczytaniu „Orla” w żaden sposób nie mogą poznać swych artykułów, i na uspokojenie zażywają kropli walerianowych. Trudno — cel uświęca środki.

Zainteresowani odnajdą „Brzydala” poniżej na karykaturze Kowańki. Trzyma go na ręku Dyrektor, jeden z członków redakcji, sympatyczny starszy pan, który pierwszy wpadł na pomysł wyzyskania psa przy adiustacji niemłych rękopisów.

Po tym krótkim wstępie, który swą wylewną szczerością powinien mi zapewnić całkowite zaufanie Czytelnika, przejdę do niezbędnego rysu historycznego.

## EPOKA KAMIENNA „ORLE”

Jest to nasz okres bohaterski i jako taki, mimo iż wypadła na epokę kamienną, najwięcej jest zabrządzany.

„Orzeł” zaczął się na Czapaiewskiej w Buzułuku. Tam znajdował się lokal redakcji: dwa kroki od bazaru, krok od stołowni „nomier adin”.

Drukarnia pracowała w sztabie skromniutko; skromniuteńko w karcieku na korytarzu. Były to niewątpliwie czasy niezwykłe. W redakcji temperatura rzadko przekraczała 10 stopni, w drukarni nie było lepiej.

Pokój redakcji służył jednocześnie za sypialnię, pracownię kukiełek do szopki Wittlina i Kowańki, w prawym rogu urzędował referat ogólny biura prop. i oświata, na pace referat oświatowy, na lewo od pieca trerat widowiskowy, a szafa markowała bibliotekę. Tutaj również odbierano radio, a na domiar wszystkiego był to pokój przechodni.

W rezultacie, w południe, po kilku godzinach intensywnego urzędowania, pokój wyglądał jak pobojowisko, na którym królował nepodzielnie Włodzio Kowańko z patelnią (nie

z paletą) w rękę, na której smażył jakieś podejrżane przysmaki.

Tutaj pewnego grudniowego dnia stanął w drzwiach łysawy, zażywny strzelec „za okularami”, który trzasnął obcasami, zameldował się gromkim głosem i wmaszerował do pokoju rwąc drzazgi z podłogi. Pamiętam, w redakcji zrobiło się cicho jakby makiem zasiał. Oczekiwano rzeczy jak najgorszych. Marsowa postawa, tubalny głos zdezorientowały całkowicie wszystkie referaty. Bardziej wrażliwe panie wycofały się z pokoju. Przybyłem okazał się Zbigniew Racięski, który błyskotliwą karierę rozpoczął od dzielenia landrynek z przydziału na biuro, w czym mu dzielnie pomagał Ignacy Jesman, wybierający większe cukierki dla siebie.

Początkowo planowano wydawanie „Orla” trzy razy w tygodniu, okazało się to jednak niewkonalne ze względów technicznych. Maszynny drukarskie nie posiadały jeszcze napędu elektrycznego. Cały nakład (początkowo 3000 egzemplarzy) trzeba było pedałowac. Beznadziejna robota. Nasi dzielni drukarze nie szczędzili sił. Długo po godzinach biurowych paliło się światło w prawym skrzydle sztabu. Drukarnia pracowała do późnej nocy. „Orzeł” ukazywał się regularnie co tydzień.

Z metrapaźem „Orla” popularnie zwanym Piecyk, poznałem się przy pierwszym numerze. Redaktor naczelny rtm. S. W. wyznaczył mnie do łamania numeru. Kiedy podszedłem do kaszty, Piecyk łypnął na mnie badawczo swymi niebieskimi oczami i spytał: Pan skąd?

- Z Warszawy.
- Ja też — i spojrzal na mnie łaskawiej.
- A gdzie pan mieszkał? — badał dalej.
- Na Górskiego.
- A ja na Woli, a gdzie pan pracował? — kontynuował.
- W „Czerwoniaku”.
- No to fajno, a znał pan kulawego Kunowszcza?, on tam też pracował.
- Tak — zegałem.

Znajomość przeszła przez bufet i odłąd datuje się nasza gorąca miłość.

## OKRES BRĄZOWY

Nowa era rozpoczyna się nad Kurkułdiukiem w Jangi-Jul. Drukarnia dostała w końcu osobny pokój, a jedna z maszyn została zmotoryzowana. Nakład wzrasta do 7000, a objętość Orła do 6-8 stron.

Chciałbym coś w tym miejscu napisać o rtm. C., który wówczas przyszedł do nas na stanowisko szefa biura, ale słyszę jego słowa: „Grubasio, ciągle macie tylko w głowie jakieś uroczyści i jubileusze. Dostyc tej reklamy.” Chciałbym, ale boję się. Sam dwa została zmotoryzowana. Nakład wzrasta do 7000, a objętość Orła do 6-8 stron.

W okresie „brązowym” „Orla” Czytelnicy musieli zauważyć na ostatniej stronie u dołu literkę G i pięćcyfrową liczbę, znak cenzora sowieckiego. Nigdy nie można było przewidzieć, co zostanie skonfiskowane. Np. w numerze wielkanocnym do zdania: „Rozdzwonią się tego dnia kościoły w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Wilnie, Lwowie” — musieliśmy dodać Kurytybę i Chicago. Inaczej by nie poszło. Niby, że w Kurytybie i Chicago też mieszkają Polacy, a miasta te nie leżą w Polsce. Inym razem znowu w artykule historycznym cenzor skreślił zdanie o tym, jak to podczas najazdu tatarskiego na Polskę trębacz na wieży Mariackiej przesyty został strażą tatarską. Cenzor oświadczył, że mogłoby to obrazić naród tatarski, jeden z narodów ZSRR. Nie pomogło tłumaczenie, że my z Tatarami żyjemy w najlepszej zgodzie mimo wszystkie najazdy. Uparł się i anirusz.

W tym czasie redakcja zdobywała po ciężkiej walce z referatem rodzin wojskowych nowego współpracownika. Administratorem „Orla” zostaje najbardziej wzorowy żołnierz kompanii sztabowej Eugeniusz Lubomirski, którego my zwykli śmiertelnicy nazywaliśmy „Diukiem”.

Szalały za nim baby na bazaru, nam za jednego śledzia dawały 4 pomidory, jemu osiem i jedno jajko.

Jest to okres żelaznej gospodarki w „Orle”. Diuk był człowiekiem upartym i konsekwentnie zwał, choć ze zmiennym szczęściem, balagan redakcyjny. W końcu jednak uległ i zwiął od nas.

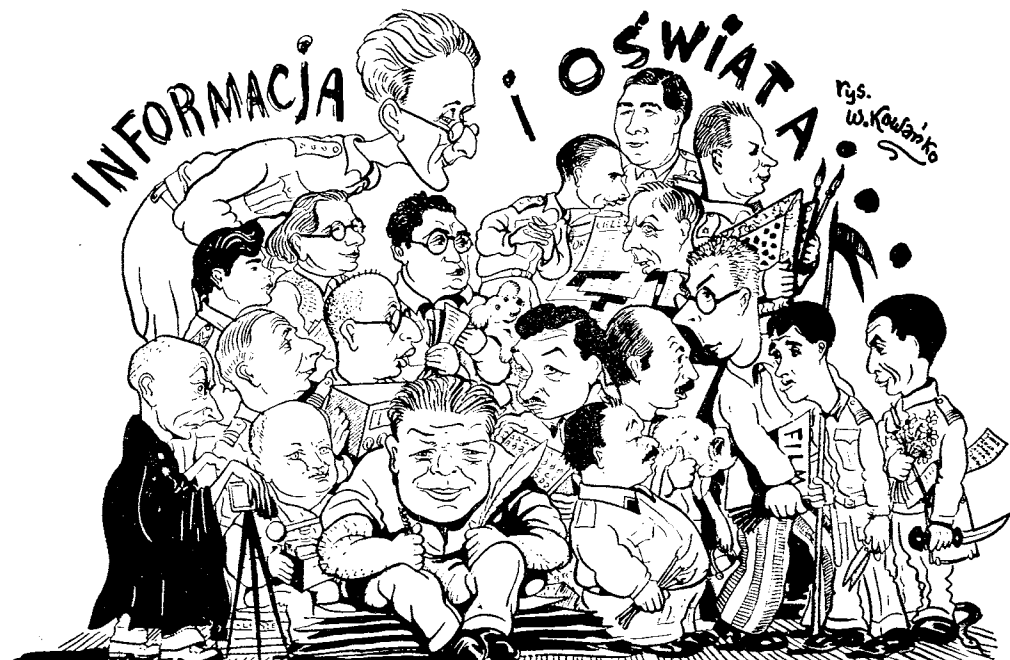
Z Wrewojskoje dołączył do nas Darek Zarnowski, którego mistrz Kowańko na naszej „panoramie” wymalował z lancą, nożycami i pałąk w rękę.

## NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Na drzwiach napis „Hala maszyn”. Teraz jesteście już małym „Domem Prasy”. Mamy autentyczną płaską maszynę i przeraźliwie rozdzwoniony telefon, do którego nikt nie chce podchodzić. Są chwile, że Czapaiewska 21 w porównaniu z obecnym m. p. (miejsce pracy) wydaje się cichą przystanią dla emerytów, zwłaszcza od chwili, kiedy zli ludzie stawiali do jednego z pokojów fortepian.

Nad Tygrysem doszło do połączenia redakcji „Orla” z redakcją „Ku Wolnej Polsce”. Fuza nastąpiła 5 miesięcy temu. Był to na prawdę dramatyczny epos. Dniem i nocą trwały konferencje „ramzesów” z „prawosławnymi”. Słabsi koledzy zasypiali, słabsze charaktery załamywały się i w zależności od sytuacji opowiadały się to za jedną, to za drugą stroną. Kością niezgody był tytuł tygodnika. Jaka będzie jego nazwa — „Orzeł Biały” czy „Ku Wolnej Polsce”. Leader „prawosławnych” Racięski robił się raz po raz malinowy i w końcu zostało po starremu. Od tych dni wiele wody przepłynęło w Tygrysie. Nasz Naczelny jest czystej krwi ramzesem. Dawne namiętności poszły w zapomnienie. Kochamy się na Wazirya bez wazyliny. A nawet po ostatniej konferencji redakcyjnej jeden z „prawosławnych” puścił na gramofonie płytę z marszem Karpackiej.

Takiej zgody pozazdrościć nam może każdy rząd jedności narodowej. Zdzisław Bau



## Ofiary

Na dzieci polskie w ZSRR przeznaczał personel Drukarni Polowej przez B. Pom. Rodz. Wojsk. i J. W. 16 din.

# TYGODNIOWY PRZEGLĄD WYDARZEŃ

W miarę jak zmieniają się warunki atmosferyczne, wchodzimy stopniowo w nową fazę wojny. W Rosji działania ofensywne wojsk sowieckich przesuwały się coraz dalej na północ w pogoni za zimą. Na odcinkach południowych mamy już bowiem do czynienia z kontrofensywą niemiecką. W Tunisie Niemcy czynią dalsze rozpaczkliwe wysiłki, by opóźnić nieuniknioną chwilę swego odwrotu z Afryki. Na zachodzie Europy lotnictwo sprzymierzone wznowiło ofensywę na dużą skalę, niszcząc bezlitośnie potężne ośrodki przemysłu Rzeszy.

**KONTRÓFENSYWA NIEMIECKA**  
W ROSJI przyszła obecnie szybciej niż rok temu, kiedy zaczęła się właściwie dopiero w czerwcu. Niemcy uderzyli w Zagłębiu Donieckim osiagając z powrotem linię Dońca na znacznym odcinku. Komunikaty sowieckie przyznały się do opuszczenia przez Rosjan Krasnogradu, Łozowej, Pawłogradu, Krasnoarmiejska, Barwenkowa, Sławiańska i Lisiczańska.

Walki toczą się obecnie w rejonie Iżjum. Dalej na północ wojska nie mieckie zajęły znowu Charków. Wojska rosyjskie stawiały tam zaręczony opór, potórnywany do walk pod Stalingradem. Trudno się temu dziwić, zważywszy na kluczowe znaczenie Charkowa dla całego południowego frontu rosyjskiego. Odbicie Charkowa świadczy w każdym razie o zmianie, zachodzącej już na tamtym teatrze wojny.

Na północy natomiast wojska rosyjskie zajęły Wiaźmę. Po odebraniu Rżewa i Gżacka przeszła zatem w ręce sowieckie trzecia niemiecka baza wypadowa pod Moskwą. Wojska niemieckie posuwają się na zachód od Wiaźmy w kierunku Smoleńska, oddalonego o 160 km. Komunikaty sowieckie donoszą o tych sukcesach w dalszym ciągu nie wspominając o jenicach, a liczby zdobytego łupu są stosunkowo niewielkie. Wynikałoby z tego, że odwrót niemiecki z przedpola Moskwy jest celowy i odbywa się w porządku. Niemcy skracają tam front. Widocznie w dalszym ciągu — podobnie jak w roku zeszłym — usiłują główne wysiłki skupić na froncie południowym rezygnując ze zdobywania Moskwy, której nie udało im się zająć jesienią 1941 r. Przyszłość pokaże, czy poświęcenie celu politycznego, jakim przede wszystkim jest Moskwa, dla celu gospodarczego — jakim przede wszystkim jest Kaukaz, — było decyzją trafną.

W TUNISIE generałowie niemieccy Rommel i von Armin usiłują uratować trudną sytuację znaczną ruchliwością i niewypuszczeniem inicjatywy z ręki. Na linii Mareth gen. Rommel znowu przeprowadził natarcie, nie tak silne jak dwa tygodnie temu, lecz równie śmiałe. Tym razem uderzył na pustyni 80 km na zachód od Fum Tatahuine pod Ksar Kihilane. Podobnie jak poprzedni atak i ta próba ofensywy została odparta Gen. Eisenhower w ostatnim swym rozkazie stwierdził jednak, że liczyć się należy z dalszą ruchliwością Rommela.

Na północ od słonego jeziora Dżerid stroną nacierającą są wojska sprzymierzone, które po złamaniu ofensywy niemiecko-włoskiej, zajęły Tozeur i zbliżyły się do miejscowości Gafsa ok. 150 km od portu Gabes. Akcja sprzymierzonych na tym odcinku zagraża tyłom linii Ma-

reth oraz liniom komunikacyjnym wroga.

Działania te są jednak dopiero przyrywką do ogólnej rozprawy o Tunis. Wszystko wskazuje na to, że nie wypadnie nam już długo czekać na bitwę zasadniczą, która nie będzie łatwa do wygrania.

**OFENSYWA LOTNICTWA** sprzymierzonych na zachodnio-południowe Niemcy przybrała znacznie na sile. Cztero i dwutonowe bomby zrzucone w ubiegłym tygodniu na Norymbergę, 500 ton bomb na Monachium, zbombardowano również Stuttgart oraz znowu Essen. Nalot na Essen z 5 marca należał do najcięższych jakie lotnictwo sprzymierzonych przeprowadziło w tej wojnie. Brytyjski minister lotnictwa sir Archibald Sinclair stwierdził, że około 450 morgów terenu w Essen uległo zniszczeniu, a 75% budynków zburzono lub uszkodzono. Essen jest dziś po Kolonii najbardziej zniszczonym miastem Rzeszy. W Wilhelmshaven zniszczone 118 morgów terenu, a w Rostocku — 120 morgów. Milion Niemców znalazło się już bez dachu nad głową. Wiemy coś o tym, gdyż znowu partię 20.000 dzieci niemieckich skierowano na nasze Podkarpacie. Ofensywa lotnicza sojuszników na zachodzie trzyma na uwierzy 50% najlepszych lotników niemieckich, którzy nie mogą być użytych na froncie wschodnim.

Fakt ten podany do wiadomości przez brytyjskiego ministra przeczy płytkim i demagogicznym twierdzeniem, jakoby mocarstwa zachodnie nie dźwigały ciężaru wojny.

Ze jest inaczej świadczą o tym coraz bardziej alarmistyczne wyznania Niemców, którzy nie ukrywają już ciężkich strat, poniesionych ostatnio przez Norymbergę i Monachium. Podnoszą oni krzyk oburzenia z powodu zniszczenia w obu tych miastach różnych zabytków i niemieckich dzieł sztuki. Szkoda tylko, że nie oburzali się podobnie, gdy ich lotnictwo niszczyło zabytki Warszawy, Rotterdamu, Londynu. Wówczas gawiedź niemiecka biła brawo.

**PODCZAS GDY NA WSCHODZIE** wojna toczy się na terenie Rosji, gdzie znaczne połacie kraju ulegają niszczeniu (w Rżewie według doniesień moskiewskich liczba mieszkańców z 65 tys. spadła do 240 osób), lotnictwo sojuszników zachodnich wdiera się coraz dotkliwiej w teren wroga, do serca jego przemysłu i maszyny wojennej. Na tym też polega potencjalna przewaga frontu zachodniego Siły na Zachodzie stale zresztą rosną.

Amerykański minister wojny Stimson oświadczył, że z końcem tego roku Stany Zjednoczone posiadają będą armię złożoną z 8.200 tys. ludzi, z czego 2.500 tys. służyć będzie w lotnictwie. Min. Stimson oblicza, że „oś” posiada w Europie armie 14-milionową. Anglia i Rosja razem rozporządzają wojskami liczebnie mniejszymi. Przeważać szalę mogą zatem tylko Stany Zjednoczone. Min. Stimson zapowiedział utworzenie 100 amerykańskich dywizji lądowych łącznie z wojskami pomocniczymi. W Waszyngtonie ogłoszono również liczby o rozmiarach pomocy materialnej Stanów Zjednoczonych dla sojuszników. W kwartale kończącym się 1 marca Stany Zjednoczone przesyłały na różne teatry wojny sprzętu wojennego i zaopatrzeń na

sumę 2417 milionów funtów, z czego Rosja otrzymała towarów na sumę 465.500 tys. £. Na liście państw korzystających z pomocy amerykańskiej Rosja kroczy na drugim miejscu po Anglii, co przeczy twierdzeniem, jakoby była ona pozbawiona pomocy sojuszników.

Należy oczywiście uwzględnić wszystkie te fakty przy ocenie sytuacji strategicznej i stwierdzić, że na froncie wschodnim zaznacza się znowu równowaga sił bez zdecydowanej przewagi jednej ze stron. „The Iraq Times” omawiając kontrofensywę niemiecką w Rosji słusznie wywodzi, że wypływają z niej dwie nauki: 1) Wojna ta nie będzie wygrana przez samą Rosję; 2) Żaden sojusznik nie może mieć nadziei, że może zmierzać lub próbować wygrać wojny w pojedynkę. Pismo bagdadzkie przypominało, że tylko jeden naród walczył przez pewien czas sam przeciw „osi”. Była to Anglia. Możemy dodać, że również Polska znajdowała się w podobnym położeniu.

**NACZELNY WÓDZ, GENERAL WŁADYSŁAW SIKORSKI** przemawiając do lotników polskich powracających z wielkiego nalotu na Essen powiedział m. in.: „Wojna nie jest jeszcze wygrana, jak to niektórzy sądzą. Do zakończenia wojny ścieśle się droga jeszcze niezwykle trudna i niebezpieczna. Rozstrzygnięcie jej nie spadnie na wschodzie. Zwycięstwa nie osiągnie sama Rosja. Wojna rozstrzygnie się na polu bitwy, przy udziale wszystkich, a przed innymi — naszych potężnych aliantów zachodnich”.

**DO ZWYCIĘSTWA** wszakże potrzebna jest nie tylko przewaga potencjału wojennego, ale i dobra polityka. Ostatnie przeciwpolskie wystąpienia Moskwy wywołały w świecie komentarze, które na pewno nie ułatwiają prowadzenia wojny. Oświadczenia sowieckie podchwyciła bowiem skwapliwie propaganda niemiecka, która z jednej strony zaczęła obłudnie rozdzierać szaty nad losem polskich ziem wschodnich, a z drugiej tłumaczyć na tym przykładzie Turków, Finów, Hiszpanom, nie mówiąc o swych satelitach, że karta atlantycka nie jest przez niektórych sprzymierzonych dochowywana i że jedyną ordęnkującą narodów europejskich jest... Rzesza.

Londyński „Dziennik Polski” donosząc o troskliwej uwadze, jaką sprawom polskim poświęca obecnie na konferencjach prasowych w Berlinie rzecznik tamtejszego M S Z dr Schmidt — pisze, że „nie można dopuszczać, by pan ten „robił się obrońcą interesów Polski”. „Należałoby z tego względu — pisał „Dziennik Polski” — rozpocząć kontrakcję ze strony sprzymierzonych”.

Tymczasem jednak londyński „Times” wystąpił z artykułem, który znowu gotów postużyć za argument dla propagandy niemieckiej. Artykuł wywodził, że po wojnie tylko dwa mocarstwa, Anglii i Rosji, przypadają odpowiedzialność za bezpieczeństwo Europy. Tylko bowiem te dwa kraje będą uzbrojone. „Bezpieczeństwa w Europie — pisał „Times” radząc, by nie powtarzać „błędów” z r. 1919 — nie zapewni żadnemu narodowi zespół mniejszych państw lub poparcie, udzielone takiemu zespołowi wyłącznie z zachodu”.

„Times” nie po raz pierwszy zajmuje takie stanowisko. W roku ubiegłym wyraził myśl, że państwa Europy środkowej skazane są na opiekę bądź Niemiec, bądź Rosji. Wobec tego, że opieka Niemiec odpada, pozostaje Rosja. Artykuł wywarł bardzo ujemne wrażenie m. in. w Turcji. Rząd brytyjski dał wówczas oświadczenie, że „Times” nie wyrażał jego poglądów, a bryt. min. spraw zagr. Eden zaznaczył w Izbie Gmin, że po wojnie Polska i Turcja będą miały dużą rolę do odegrania.

**MIN. EDEN BAWI** obecnie w Waszyngtonie, gdzie odbywa narady na temat powojennej organizacji świata w związku z projektowaną w Stanach Zjedn. konferencją wszystkich mocarstw sprzymierzonych. Konferencja ta powinna wyjaśnić, że zasadnicze cele wojenne sprzymierzonych nie uległy zmianie, że agresje oraz jednostronne decyzje międzynarodowe przy użyciu przemocy nie są i nie będą uznawane oraz, że karta atlantycka już dziś obowiązuje w stosunkach między sprzymierzonymi.

Przed wyjazdem z Londynu min. Eden mówiąc w Izbie Gmin o nowej granicy rumuńsko-węgierskiej określonej arbitrażem niemiecko-włoskim z r. 1940, przypomniał, że: „Nie zamierzamy uznać żadnych zmian terytorialnych, dokonanych w czasie wojny, chyba, że nastąpiły one z dobrej woli i za zgodą stron zainteresowanych. To pozostaje stanowiskiem rządu J.K.M.” Zapytany w Waszyngtonie na temat granicy polsko-sowieckiej min. Eden zaznaczył: „Nie doświadczyliśmy między sobą do tego stadium, by omawiać przyszłe granice między różnymi krajami”. Pobyt min. Edena w Ameryce nabiera w każdym razie na tle obecnej sytuacji, która wytworzyła się w łonie obozu sojusznicznego szczególnego znaczenia.

W KONGRESIE STANÓW ZJEDNOCZONYCH natomiast odbyła się rozprawa na temat ostatnich posunięć rządu sowieckiego. M. in. deputowany, republikanin Monkiewicz mówił: „Skoro zobowiązaliśmy się do zabezpieczenia naszych zasad ujętych w karcie atlantyckiej, to czy możemy zgodzić się, aby jeden czy więcej naszych sprzymierzeńców stało się ofiarami innego sprzymierzeńca? Na jakiej podstawie ZSRR opiera swe roszczenia do terytorium Polski i państw bałtyckich?”

To są pytania, które wymagają odpowiedzi.

D. 1.

## KRONIKA SPORTOWA

### ARMIA

## POLSKA — IRAN 3:1

W obecności 20.000 widzów reprezentacja Armii Polskiej na Wschodzie pokonała w Teheranie reprezentację Iranu w stosunku 3:1. Bramki strzelili Borowski dwie, Kradacki — jedną. (W następnym numerze zamieścimy szczegółowe sprawozdanie).



# Deutsches Vorfeld im Osten



Oto kilka zdjęć wyjętych z niemieckiego wydawnictwa „Das Generalgouvernement deutsches Vorfeld im Osten”, „General-Gubernatorstwo, niemieckie przedpole na Wschodzie”.

Cynizm, buta i bezczelność zabory przemawiają z każdej strony tej książki. Ma ona przekonać Polaków, że państwo polskie raz na zawsze należy do przeszłości i że rolę naszą jest teraz być bydlęciem robotycznym pracującym dla niemieckich pańów. Nie ma już Polski — wołają Niemcy — nie ma Polaków. Jest tylko niemieckie general-gubernatorstwo, mające sianowić bazę wypadowa dla dalszego „Drang nach Osten” i jest mało wartościowa kulturalnie grupa ludnościowa, mówiąca tzw. polskim językiem. Może ona istnieć tylko pod warunkiem, jeśli podda się Niemcom. W przeciwnym razie zostanie wytępiona. „Wird ausgerottet”.

Biali Murzyni w sercu Europy — oto miejsce, jakie nam przeznaczili niemieccy twórcy nowego porządku w Europie. Obejrzyjmy dobrze te zdjęcia. I zapamiętajmy je.

U góry, pierwsze od lewej przedstawia kilka „gadzinówek”, tj. gazet wydawanych przez Niemców w polskim języku. Dalej, na prawo, trzech naszych bosych chłopców. Podtytuł po niemiecku brzmi: W Polsce dzieci nie wiedziały co to są buty. W prawym rogu u góry flaga niemiecka nad Wawelem. W środku fragment zburzonej Warszawy. U dołu na lewo oddziały niemieckie wynoszą z Wawelu sztandary krzyżackie zdobyte pod Grunwaldem. U dołu na prawo Gestapo rewiduje Polaków.



„Siła i oszustwo, oszustwo i siła — oto pradawna niemiecka ewangelia”.

LORD VANSITTART



# „czarnego ładu”

**POLACY**  
w Armii Brytyjskiej

W m. p. dtwa Armii Polskiej na Wschodzie bawił „egzotyczny” gość w osobie płk. W. L., głównego oficera łącznikowego polskiego w Afryce Zachodniej. Płk. L. jest Polakiem, pełniącym służbę w armii brytyjskiej.

Chcąc zapoznać Czytelników z życiem naszych oficerów pełniących swój żołnierski obowiązek w szeregach wojsk brytyjskich na „Czarnym Łądzie” zwróciliśmy się do płk. L. Ciekawe opowiadanie o tajemnicach kraju goszczącego naszych rodaków zamieszczamy poniżej.

Z przemówienia gen. Sikorskiego w r. 1942 świat dowiedział się, że w Afryce Zachodniej pełni służbę w armii brytyjskiej kilkaset oficerów polskich. Rozrzuceni na przestrzeni kilku tys. km w koloniach Nigerii, Złotego Wybrzeża, Sierra Leone i Gambii oficerowie ci dzielą trudny z ich kolegami brytyjskimi w szkoleniu oddziałów murzyńskich. Zdrowotnie Polacy wytrzymują klimat przynajmniej równie dobrze, jak oficerowie brytyjscy. Poznali oni doskonale regulaminy, obowiązujące w armii brytyjskiej, a przez stałe obcowanie z Anglikami wynoszą z tego kontaktu pokazywany zasób wiadomości o zdolnościach Brytyjczyków rządzenia wielkimi obszarami kolonialnymi, jak również o istotnych potrzebach kolonii.

Przez całe stulecia Afryka Zachodnia nosiła nazwę grobu białego człowieka. Istotnie bez postępu w medycynie, bez stosowania zabiegów prewencyjnych, życie białego człowieka byłoby tam narażone na olbrzymie niebezpieczeństwa. Klimat nie jest łatwy do zniesienia i do dziś panuje przekonanie, że stałe zamieszkiwanie białych ludzi w Afryce Zachodniej jest niemożliwe. Mimo to klimat ten nie jest tak szkodliwy czy nieprzyjemny, jak to się często mówi. Temperatura na ogół jest wysoka, ale za to prawie na całej przestrzeni roku bez większych skoków. Z chorób najbardziej rozpowszechnionych, a dotychczas jeszcze nie opanowanych wymienić należy malarię. Zazwyczaj biali ludzie przebywać mogą w tym klimacie przez ograniczony okres czasu, do 18 miesięcy, po czym po odbyciu kilkumiesięcznego urlopu zdrowotnego mogą znowu tam jechać na dalszych 18 miesięcy i powtarzać te okresy pobytu po kilka razy.

Afryka Zachodnia to kraj czarnego człowieka, wyłączony przezeń zagospodarowany. Ziemia należy do czarnych. Białemu człowiekowi nie wolno jej posiadać, biały nie ma tam swych plantacji. Producentem jest tam czarny, a wytwory kraju skupuje Europejczyk.

Administrowanie tymi olbrzymimi krajami jak również zakres samorządów nadanych poszczególnym krajom jest rozmaity, zależnie od warunków i potrzeb. Na ogół jednak administracja angielska trzyma się zasady: jak najmniej ingerencji w życie wewnętrzne. Anglicy wkraczają w życie czarnych tylko wtedy, gdy to jest niezbędne dla zagwarantowania bezpieczeństwa lub dla rozwoju danego kraju.

Istnieją również dotychczas autonomiczne, o dużym zakresie samodzielności, państwa murzyńskie, posiadające własny budżet, własny wymiar sprawiedliwości, policję, wie-

zienie. Sposób zarządzania przez Anglików tymi obszarami wygląda wprost czarodziejsko. Oto takie państwo murzyńskie, liczące kilkadziesiąt tys. ludności, w którym są miasta, mające 40 tys. mieszkańców, o brukowanych ulicach, elektryczności, kanalizacji i wodociągach, szpitalach, kinach dozorowane jest zaledwie przez kilkunastu Anglików.

Stopeciu kultury czarnego człowieka jest bardzo różny. W najludniejszej bo liczącej ok. 20 miln. ludności Nigerii północna część jest mahometańska, podzielona na emiraty tj. państewka pod wodzą emirów, względnie sułtanów. Są to plemiona dające dobrego z Heniera, żyjące ściśle według prawa Koranu i tak jak wszystkie państwa muzułmańskie zasklepione i niepodatne do przyjęcia kultury europejskiej.

Wzdłuż wybrzeża oceanu mieszkają różne plemiona Murzynów, mówiące około 200 różnymi językami. Ludzie ci od wieków pozostawali pod wpływem Europejczyków, a więc Portugalczyków, Holendrów, Duńczyków i Anglików. Ta masa jest zasadniczo pogańska, ale jest też bardzo dużo chrześcijan, nawróconych przez misjonarzy różnego obrządku. Wykazują oni dużo mniej własnej rodzimej kultury, ale też podatniejszą do przejmowania kultury europejskiej. Wytworzyła się tam nawet już dość poważna warstwa inteligencji — lekarzy, sędziów, adwokatów itp. Są oni dobrymi mechanikami, odznaczają się sprytem, łatwo się uczą zwłaszcza języków, natomiast uważani są za mniej walecznych od północnych Murzynów i za mniej uczuciowych.

Co do strojów, to wiemy, że są one bardzo różne. Jeszcze dziś istnieją plemiona, dla których jedynym ubraniem jest wąska opaska na biodrach. Ale większość Murzynów Anglicy namówili już do ubierania się, co zresztą poza względami przyzwoitości, przynosi duże zyski sprzedawcom angielskich materiałów, wyrabianych specjalnie dla Afryki. Te stroje są czasami bardzo efek-

tywne, jak np. wzorzyste i jaskrawe trzy chusty jednakowe, z których jedna służy jako opaska na biodra, druga na piersi, trzecią zaś Murzynka nosi na głowie. Po miastach widzi się już dużo kobiet murzyńskich ubranych zupełnie po europejsku.

Wszędzie istnieją sklepy, prowadzone przeważnie przez Syryjczyków, gdzie Murzyni chętnie kupują wszelkiego rodzaju towary, a więc tkaniny, galanterię, gramofony itp., sprowadzane przede wszystkim z Imperium Brytyjskiego. W tych warunkach nie ma najmniejszych szans powstanie na miejscu jakiegos przemysłu. Kraj ogranicza się tylko do sprzedawania wytwarzanych surowców, a wzamian może kupić wszystko, co mu dostarczą Anglicy.

Potrzeby cywilizacyjne Murzynów stale rosną. Od dzieciństwa są oni obeznani z samochodem, w wsiach istnieją odbiorniki radiowe, jest też bardzo liczna prasa murzyńska. Rozszerza się stale sieć dróg samochodowych, a w miastach buduje się szpitale, kanalizację, wodociągi, zakłady elektryczne, powstają szkoły. Z jednej więc strony duży rozwój cywilizacji, a z drugiej zaoferowanie: Murzyn np. do niedawna nie uznawał koła. Przez tysiąclecia nie wiedział co to koło i nawet garnki lepił w ręku. Wszystko też nosi na głowie, bo zwierzę juczne w tym klimacie nie utrzyma się. W pewnej kopalni sznur 2.000 kobiet murzyńskich nosi na głowach olbrzymie kosze z ziemią. Gdy wprowadzono tam taczki, Murzyni uznali, że są one wygodniejsze niż kosze, ale zastanawiali się po co to koło i nosili nadal taczki... na głowie.

Wojna wpłynęła dodatnio na rozwój kraju. Przede wszystkim wielu Murzynów jest w wojsku. Żołnierz otrzymuje duży żołd, przewyższający jego zarobki zwykle, a nadto kraj zagospodarowuje się jeszcze bardziej, powstają nowe szpitale, drogi, budowlę, baraki, składy.

Jedna uwaga na zakończenie: słowo „Murzyn” ma znaczenie raczej trochę obraźliwe. Ani czarui ani An-

glicy między sobą nie używają tego terminu na określenie tubylców. Są „Afrykańczykami”. Wyobraźmy sobie jeszcze dla uzupełnienia całości kształtu egzotyki „Czarnego Łądu” olbrzymie miasta, liczące ponad pół miliona ludności, zamieszkałe wyłącznie przez tych Afrykańczyków, jak Ibadan, drugie pod względem wielkości miasto krajowe, po innym większym jeszcze — Omdurman. Zaden opis tego nie odda.

Płk. W. L.

## List do Redakcji

Hm. Szwarc-masa. Może zbyt oryginalnie. Powiedzmy zatem szara masa. Albo: szara bracia. Tak będzie najstosowniej. Więc piszę szara bracia i to w ważnej sprawie. Ścisłej mówię szary bracie, czyli strzelec. Ale są różni strzelcy: np. taki publicysta, czy inny. To są tylko tytułarzni strzelcy. Strzelec pan umiesz, panie artysto-strzelec? Z fuzji, no przecież. Prawdziwy strzelec, to co innego. Ten ci, bracie, co drugie słowo wrzeszczy „tak jest” albo „nie wiem panie czukiu”. Ale strzelec to już umie na „zicher” jak sam Mauser. Patrzy taka pestkotniczka i urabia sobie pojęcie o naszej strzeleckiej nicości. Ale nie, nieprawda! Strzelec tylko służbowo jest taki, powiedziałby kto, głupi. Poza służbą znów nie ma się przed kim wygadać i dlatego... (sopranik: przed lustrem, panie strzelec, przed lustrem).

A mnie się zdaje, że wynalazłem proch. No, powiedzmy bez fanfaronady — proszek. A tak, tak, a jakże proszek. Na od-chamienie.

Gdyby tak szara bracia (nie narzekać na kolor, wojna). Otóż, (porzuciwszy zawziętość chińsko-arabskiego stylu) chodzi mi o podanie projektu: jakby można... wróć! Trzeba!!! Połączyć przyjemne z pożytecznym.

Gdyby tak szara bracia, zajęta wieczorami zakonspirowanym hazardem, czy żubrówką, czy przepikantną dyskusją, czy innym nadwyrażaniem szacownego (powiadam) zdrowia, posłyszawsza hasło: Konkurs amatorów solistów na rzecz ludności polskiej w ZSRR.

Albo: konkurs na najlepszą deklamację, powiedzmy, własnego wiersza. Orle kochany, wierzaj mi, kij w mrowisko!

Huż z nas sypia dosłownie na własnych wierszach.

Widzę, jak wojsko, które ma serce i, co tu dużo gadać, wie o co chodzi, sypie filsy w każdym pulku. Jak pieniądze płyną do Centralnego Komitetu, jak idzie transport z żywnością dla tych, co — na prawdę potrzebują!!!

Jakoś dziwnie zamgłił mi się papier, gdy pomyślałem, że będzie wynik strzeleckich deklamacji i śpiewu: T-r-a-n-s-p-o-r-t ży-w-n-o-ś-c-i dla tych, co czekają i wierzą j-e-s-z-c-z-e, że nie zapomnieliśmy...

I nie to jest ważne, że my, co nie lubimy daktyli i dżemu, będziemy mieli trochę więcej rozrywki. Ważne jest, że tamci będą się trochę mniej d-z-i-w-i-l-i naszym żołnierskim sercom. Dla nas to rozrywka, a dla nich?

Masz serce, bracie?

Strz. Janusz Cryf

## KONTRASTY

### WIEK XX

Hańba wiekowi, co dręczy proroków,  
Giną poeci, jak święci wśród pogan...  
Bez przewodnika — jakżeż drogą w mroku  
Trafić do Boga!

### LATAWIEC I SAMOŁOT

Gdy byłeś chłopcem, latawiec cię mamił —  
O, czarujące poloty na wietrze!  
A czasu wojny srebrny ptak bombami  
W nicłość cię zetrze.

### O REWII W OBOZIE

Śmiechy, zabawa — rzekłbyś: hulaj dusza!  
I raptem zamiana — wspomnienia i sny...  
I nie rozśmiesza, rozczula nas, wzrusza  
Uśmiech przez łzy...

### MORZE JEST SPOKOJNE

Błękit niebiosów, jak Fra Angelico,  
U stóp lśni morze spokojne, głębokie...  
Gdzie jest widnokrąg? Nie widać go, zniknął —  
Jak w dali okręt.

Bolesław Kobrzyński

# KARPATCZYCY PRZEŻYWAJĄ WIOSNĘ KURDYSTAŃSKĄ

Leje. Od nieba do ziemi. Czwartą dzień z rzędu. We wszystkich namiotach szalała powódź. Skarpetka Kozłowskiego jest już w Tygrysie, jutro po południu powinna przepłynąć pod mostem Faisala w Bagdadzie.

Dywizja Karpacka przeżywa swą wiosnę w Asyrii. Tfu, chciałem rzec, we wschodnim Kurdystanie. Pagórki zazieleniły się na szmaragdowo, zakwitły białe, złote i lilowe kwiaty, szpaki ćwierkały niemilosierdzie, poeci piszą wiersze, duże sceniczne wyżywają się na deskach teatru Ghazi, piłkarze, siatkarze, pingpongści toczą zażadle boje o prymat, jedynie narciarze odzegnali się od wiosny i uciekli w góry — na śnieg.

Jest to fakt sam w sobie (tak niesłychane, że nie puszcimy go płazem. Z narciarzami rozprawimy się oddzielnie. Dziś tylko dla statystyki notujemy, że około 200 chłopca na kanadyjskich hickorowych deskach, w łosiowych butach susuje po zboczach Kurdystanu, zastrzykując okolicznym Kurdom białe szaleństwo. Dzieciaki kurdyjskie w pewnej ilości zostały przyjęte na kurs, a oddzielna grupa Kurdów posiadających tak zwaną „smykałkę” szkoli się w fabrykacji nart.

W ten sposób, jeśli powstanie kiedykolwiek narciarstwo kurdyjskie, będzie ono „made in Poland”.

Powracając z osnieżonych gór kurdyjskich do m. p. dywizji, coź widzimy? Górali. Tak jest, górali! Nie pomoże nam nie przecieranie oczu, ponieważ autentyczny górale, w parzenicach, z ciupagami łąką dostojnie ulicami miasta.

Ostatecznie, przeciw dywizja nie od parady nazywa się karpacka. Ma nawet pewne prawa do przydomku „tatrzańska”. Jak się to podhalańskie bractwo pozbierało do kupy, to nawet po wjeździe wszystkich Zytkowiczów, Pawłowski i Marusarzy na kurs narciarski pozostało dosyć aby zrobić pyszne, fantastyczne zupełnie tańce góralskie, które wymyślił na jakiś czas inne imprezy usuwając je w ką.

Jak to wszystko pięknie wygląda, jakież to elegancja i prawda w tym tańcu, w każdym ruchu i szeregole. Ochotniczki w barwnych „kieckach” tupią nóżkami, aż dudni.

Cała impreza, rozśpiewana, potoczysta, posiadająca ogromną moc rodzinnego wdzięku, jest owocem spontanicznej decyzji Podhalań z Brygady. Duchem przedsięwzięcia jest ppor. B.

Ponieważ dywizja nie „w jednym stoi domu”, ale rozbita jest na dwa siostrzane (lub jeśli kto woli — bratnie) garnizony, nie stoi nic na przeszkodzie, aby — gdy jedna połowa wojska karpackiego cieszy się góralskim tańcem i piosenką — druga oklaskiwała gorąco orkiestrę 2 BSK, która codziennie w ramach rewio-teatralnych, daje koncerty miłośnikom muzyki jazzowej. Mówiąc stylem napuszonym i fachowym, można wyrazić się że „jest to orkiestra, której rozwiązania utworów jazzowych Duke'a Ellingtona i innych pionierów tej gałęzi muzyki są rewelacją pod względem instrumentacji, rytmu i indywidualności poszczególnych wykonawców.”

Alte lepiej sformułował swą ocenę pewien kanonier po skończonym przedstawieniu:

— Ależ oni klawo podgrymaszają!

Anglicy wyją, gwizdzą, szaleją z entuzjazmu. Najlepszy zespół jazzowy na przestrzeni od Istanbulu do Capetownu i od Casablanki do Sydney.

Okrasa „sceniczną” rewii była uroczą śpiewaczka p. Ignatowicz, zapowiadacz Piesch oraz tancerze Salomonowski i Za-

dejk. Piszę „byli”, ponieważ odjechali już. Cieszyliśmy się nimi zbyt krótko...

§ Aby ten wiosenny reportaż z DSK miał ręce i nogi, nie może zabraknąć w nim kilku słów o piłkarzach. Przecież 28 marca pieroński mecz z Anglikami, i zdaje się, nie pójdzie nam teraz tak łatwo...

Wiemy, wiemy... Owszem zrobiliśmy obóz, cała „etałowa” jedenastka karpacka zjechała w komplecie. dożywiana jest intensywnie, otrzymuje wikt w kasynie oficerskim. ale...

I otóż to!

Cały obóz trzeba przemianować na obóz

„lazika”, stanowiącego przedmiot zazdrości kolegów-piłkarzy. Trener Krason odgraża się spieszeniem pana podchorążego „ze względów kondycyjnych”.

W niedziele drużyna gra mecz z reprezentacją... miasta dwu wiosen. Za tydzień z drużyną... dywizji brytyjskiej z sąsiedniego ośrodka naftowego. I tak aż do 28 marca.

Ten mecz zaprzęta jednak uwagę dywizji.

Trzeba już kończyć a jeszcze się nie zdecydowałem, czy o tym napisać...

Bo to jakoś niezręcznie i nie wypada...



Noce są tutaj inne — bolesne i puste. Miasto zasypia nagle, bez westchnień, głęcho. Księżyc jest niedostępny, twarz zastania chustą, Nie zagląda do okien. Przepływa wysoko.

Minarety podnoszą ascetycznie dłonie I całują kraj srebrnej, księżycowej smugi... Wszystko się roztopiło, zamyśliło, tonie W ciszy niemej, surowej, nieskończenie długiej.

Kroki dźwięczą bez sensu, jak obce wyrazy. Cicho przeszły wielbłądy zapatrzone w niebo... Ból bezkresnych wędrowek i szczęście oazy — Złą, skrytą mądrość Wschodu na garbach kolebią.

Drzewa stoją milczące. Nie szepeczą. Nie szumią. Gorzka sól mej tęsknoty zakrzępiła na wargach. Z daleka pieśń spłynęła... Góry sennie tumią Śpiew, w którym dźwięczy tylko modlitwa i skarga.

Księżyc najwyższe szczyty powoli przekracza. Dawno zgubione myśli teraz wróciły wszystkie. Serce dąwi niepokój. Późno. Trzeba wracać — I nocą czytać długo znów „Sonety Krymskie”.

Jan Olechowski

plywacki. Na boisku zrobiła się sadzawka, wokolo zaś grząskie bagienko. Jakies upusty niebieskie rozwarły się nad nami...

Na razie więc piłkarze grają w ... brydża i sześćdziesiąt sześć. Kasina leży w szpitalu, Wisniewski... leczy skórę. Pozostałym na ogół nic nie dolega. Najzawzięciej ćwiczą dwaj „konkurencyjni” skrzydłowi, Mykietowicz i Borowski. Obaj są w dobrej formie. Kidacki został podporucznikiem, gra jednak tak doskonale jakby nadal był... plutonowym podchorążym. Gerula przypiął sobie nad łóżkiem podobizny Hagooda i Sprotona rozglaszając, że takich obrońców potrzeba mu do pełnego szczęścia w bramce.

Bulka, jako dowódca plutonu żandarmerii „dosiada” od kilku dni nowiutkiego

Żołnierz nie lubi się chwalić, że komus pomógł. A przecież nie można przemilczeć, bo jeszcze powiedzą, że jesteśmy liczykropy i dusigrosze.

Wobec tego krótko, tak z dziennikarskiego obowiązku, w dwu słowach.

Dywizja zebrała od ręki około trzech tysięcy funtów na uchodźców w Teheranie.

To nie po to, żeby się chwalić. To po to, żebyście i wy dali również...

Witold Domański

## —ODESZLI NA ZAWSZE...—

W Bukareszcie zmarł prof. Wacław Makowski, b. marszałek sejmu. S. p. Wacław Makowski był jednym z najwybitniejszych prawników polskich. Urodzony w r. 1880 w Wilnie ukończył studia prawnicze w Warszawie. W Warszawie też ogłaszał swe prace literacko-artystyczne oraz artykuły społeczne. Jako adwokat bronił przed sądami carskimi przestępców politycznych. W niepodległej Polsce wykładał na Wydziale Prawnym Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego. Prof. Makowski był kilkakrotnie ministrem sprawiedliwości w kilku gabinetach: Ponikowskiego (1918), Słowińskiego (1922) Nowaka (1922), Sikorskiego (1923), Bartla (1926). Ostatnio był marszałkiem sejmu, a poprzednio wice-marszałkiem senatu. Do Rumunii przybył prof. Makowski we wrześniu 1939 r. Następnie przez jakiś czas przebywał w Belgradzie, skąd po wybuchu wojny jugosłowiańsko-niemieckiej wyjechał z powrotem do Bukaresztu. Pogrzeb w Bukareszcie odbył się przy znacznym udziale miejscowej Polonii.

\* \* \*

W Bukareszcie zmarł s. p. Wacław Syruczek, b. zastępca naczelnego redaktora w koncernie prasowym „Dom Prasy” w Warszawie i b. naczelną redaktora „Kurier Polskiego” w Bukareszcie. Wacław Syruczek należał do czołowych dziennikarzy polskich młodszego pokolenia. Jego artykuły polityczne oraz recenzje teatralne, pisane w Warszawie, zwracały uwagę polotem, bystrością i dowcipem. Główne wsakże zasługi położył s. p. Wacław Syruczek w czasie wojny w Rumunii, gdzie w listopadzie 1939 r. stanął na czele wychodzącego tam organu Polaków w Rumunii „Kurier Polski”, który pod jego kierownictwem stał się jedynym nieskrępowanym dziennikiem polskim w Europie środkowej. Po zamknięciu „Kuriera Polskiego” jesienią 1940 r. przez władze rumuńskie s. p. Syruczek zdecydował się pozostać w Rumunii, gdzie ostatnio redagował biuletyn informacyjny polskiej Y.M.C.A. dla uchodźców polskich.

**PAMIĘTAJ  
— O —  
DZIECIACH  
POLSKICH  
W Z.S.R.R.**

B. mistrz świata w boksie Amerykanin Jack Dempsey (pierwszy od prawej) wstąpił do armii. Dowodzi on oddziałem desantowym.



